ŚWIAT

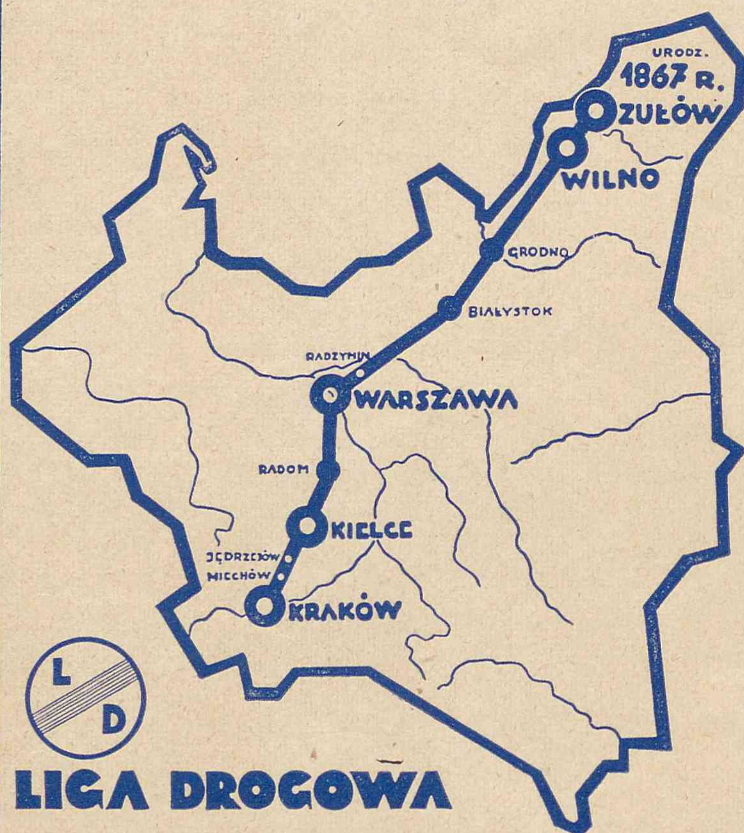
CENA 1 ZŁ.

Nr. 24 15.VI.1935



Loda Halama w „Niemej z Portici" święciła tryumfy w Operze Warszawskiej

w numerze:



Trzy wielkie atrakcje w jednej wycieczce

Na koniec czerwca zapowiada Orbis niezwykle atrakcyjną wycieczkę do Londynu na zakończenie uroczystości Jubileuszwoych pary Królewskiej. Po drodze pobyt w Paryżu — z powrotem zwiedzanie wystawy światowej w Brukseli, Ostendy i innych miast belgijskich.

Zastanawiamy się nad wyjazdem na urlop.
Skorzystajmy z polskiej komunikacji lotniczej, taniej — bezpiecznej — szybkiej.

Wakacje nad Adrjatykiem i morzem Czarnem

W lipcu i sierpniu organizuje P. B. P. „Orbis" przy współudziale PAZZM „Liga" szereg tanich wycieczek miesięcznych do Jugosławji, Bułgarji i Rumunji.

Wycieczka do Jugosławji zwiedza Wiedeń, Budapeszt, Zagrzeb, Split, Sarajewo i Beograd. Pobyt dwutygodniowy w Dubrovniku nad Adrjatykiem. W czasie pobytu urządzane będą wycieczki morskie.

Wycieczka do Bułgarji obejmuje pobyt 4-ro tygodniowy w pięknie położonej miejscowości pod Varną. W czasie pobytu wycieczki do Stambułu i Sofji, zwiedzanie Bukaresztu.

Pozatem urządzony będzie w Rumunji tani obóz 3-tygodniowy pod Constanzą, w namiotach campingowych; po obozie odbędzie się wycieczka do najciekawszych i najpiękniejszych miejscowości w Rumunji zwiedzanie Bukaresztu.

Koszt wycieczek już od Zł. 200.—

W wycieczkach mogą brać udział słuchacze wyższych uczelni, młodzież szkolna ze starszych klas oraz osoby, które otrzymały dyplom nie dawniej, jak 2 lata temu.

Zapisy przyjmują wszystkie placówki Orbisu, PAZZM „Liga" ul. Trębacka 4, m. 11, tel. 209-68, oraz tyg. „Dekada", Orla 8, tel. 11-06-44.

Prospekty są wysyłane na żądanie.

Powitamy młodzież fińską

W czerwcu przybędzie do Polski pierwsza z trzech zapowiedzianych wycieczek młodzieży z Finlandji, organizowana przez Orbis i Finlandzkie Biuro Szkolne.

ŚWIAT

REDAKTOR NACZELNY LEON CHRZANOWSKI

ROK XXX. Nr. 24 15.VI.1935

KAZIMIERZ JEZIORAŃSKI

Roszczenia kolonjalne Niemiec a prawa Polski

W mowie swej z 21 maja r. b. kanclerz Hitler sprecyzował zasady polityki niemieckiej, powiedział światu, na jakich warunkach gotów jest współpracować zarówno w Lidze Narodów, jak i na innych odcinkach międzynarodowych stosunków.

Według tych wynurzeń naczelnym postulatem Niemiec jest — uzyskanie zupełnego równouprawnienia.

Gdy w końcu marca r. b. przedstawiciele W. Brytanji min. J. Simon i A. Eden złożyli wizytę w Berlinie celem zapoznania się z poglądami Rzeszy na aktualne zagadnienia polityczne — dowiedzieli się tam wielu szczegółów co do zakresu roszczeń niemieckich, dowiedzieli się, jak równouprawnienie to rozumieć należy.

Sir J. Simon, który w dn. 10 kwietnia zdawał przed Izbą Gmin sprawę z rozmów berlińskich, mógł w dużym stopniu zaspokoić ciekawość opinji publicznej zarówno angielskiej, jak i świata całego.

„Omawiając sprawę Ligi Narodów — powiedział m. in. w swem sprawozdawczem przemówieniu min. Simon — Hitler uczynił aluzję do swego oświadczenia z maja 1931 roku, w którem zaznaczył, że Niemcy nie będą brały udziału w Lidze Narodów, jeżeli pozostaną krajem nieposiadającym pełnych praw. Jako przykład Hitler oświadczył, że Niemcy znajdują się w sytuacji „niższości" nie posiadając kolonji".

Otrzymanie kolonij jest więc jednym z warunków równouprawnienia, jednym z warunków zrównania Rzeszy w prawach z innemi państwami.

Tęsknota do kolonij staje się coraz bardziej w Niemczech natarczywa.

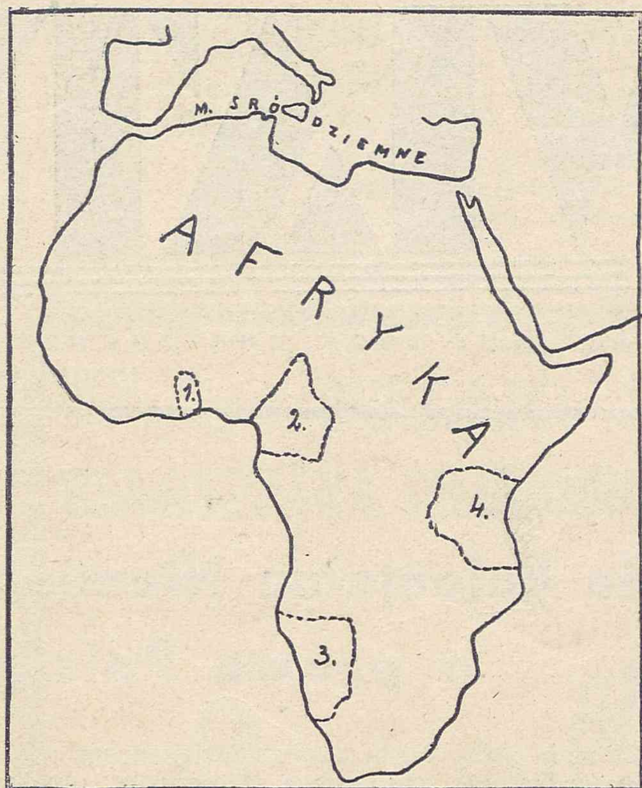
Wdniu 1 maja r. b. dał jej wyraz Führer, gdy przed miljonem słuchaczy na polach Tempelhofu odmalował obraz upośledzonego narodu: wspomniał o gęstem zaludnieniu swej ojczyzny, o braku surowców, kapitałów, dewiz, oraz o braku ....kolonij.

A min. Schacht, dyktator gospodarczy Rzeszy, niejednokrotnie wypowiadał się za koniecznością posiadania terenów zamorskich jako źródeł surowców kolonjalnych, za przywóz których z zagranicy trzeba dziś płacić tak cennemi dewizami.

Ileż czasopism, ileż broszur i książek udawadnia w Niemczech potrzebę jaknajszybszego odzyskania terenów zamorskich. A ileż organizacyj (jest ich kilkanaście) propaguje ideę kolonjalną w narodzie.

Całą tą akcją, wszystkiemi temi organizacjami kieruje instytucja centralna — „Koloniale Reichsarbeitsgemeinschaft", która nadaje kierunek programowy wysuwanym roszczeniom.

I stąd dowiadujemy się, że naród niemiecki z posiadłości zamorskich pragnie nietylko uzyskać potrzebne surowce, których tak natarczywie dla gospodarstwa narodowego domaga się dr. Schacht,



B. niemieckie kolonje w Afryce

1. *Togo*
2. *Kamerun*
3. *Południ.-Zachodnia Afryka*
4. *Afryka Wschodnia*

lecz również chce tam znaleźć ujście dla nadwyżki swej ludności i dla swego handlu.

Jakież są obecne losy b. niemieckich kolonij?

Po zrzeczeniu się przez Niemcy Traktatem Wersalskim wszelkich pretensyj do posiadłości zamorskich, nie zostały one wcielone do państw zwycięskich, lecz stworzono dla nich, pod naciskiem ideologji prezydenta Wilsona — specjalny system mandatów. Tereny te powierzone zostały jako mandaty kolonjalne poszczególnym państwom, które administrują niemi pod kontrolą Ligi Narodów.

Mandaty zostały podzielone w sposób następujący:

1) Anglja uzyskała w Afryce część Togo (34.292 klm.²), część Kamerunu (88.671 klm.²), część b. niem. Afryki Wschodniej, mianowicie Tanganikę (968.871 klm.²), oraz b. niem. Południowo - Zachodnią Afrykę (834.990 klm.²) celem przekazania jej swemu Dominjum Unji Południowo - Afrykańskiej. Pozatem na Oceanie Spokojnym Anglji przyznano wyspy Nauru, Samoa (dla Dominjum Nowa - Zelandja) oraz inne wyspy oceanu na południe od Równika.

2) Francji przypadła w Afryce: część Kamerunu (430.000 klm.²), i część Togo (52.000 klm.²).

3) Japonji przydzielono wyspy na Pacyfiku na północ od Równika (Yap, Karoliny, Marshall i Mariannes).

4) Wreszcie Belgja otrzymała część b. niem. Afryki Wschodniej, mianowicie prowincje Ruanda - Urundi (54.000 klm.²).

Przyznanie tych właśnie mandatów kolonjalnych — staje się dziś postulatem polityki niemieckiej, polityki równouprawnienia.

Gdy się wysuwa żądanie równego traktowania, które przejawić się ma m. in. i w uzyskaniu terenów zamorskich, gdy się udawadnia potrzebę kolonij nadmiarem ludności, brakiem surowców i chęcią znalezienia nowego ujścia dla handlu — postawić należy pytanie, czy te potrzeby Rzeszy Niemieckiej nie są identyczne z takiemiż potrzebami Państwa Polskiego?

Czyż w imię równości głoszonej przez Rzeszę Polska nie powinna wejść w posiadanie mandatu kolonjalnego, aby zaspokoić troski swe o wychodźtwo, o surowce, o nowe rynki dla wypieranych dziś zewsząd swych towarów?

Wszak przyrost roczny ludności w Polsce przekracza 400 tysięcy, i jest dużo wyższy, niż w Niemczech (w 1933 r. na 1000 mieszkańców w Polsce naturalny przyrost wyniósł 12,3, zaś w Niemczech tylko 3,5). Musimy wreszcie mieć teren emigracyjny, skąd nasze wychodźtwo nie byłoby rugowane zależnie od konjunktury i nastrojów.

A sprawa importu surowców kolonjalnych również ma dla nas doniosłe znaczenie. Przecież w roku ubiegłym Polska sprowadziła tych właśnie surowców na przeszło 300 miljonów zł., co wyniosło 39% ogólnego naszego przywozu. Tak olbrzymią sumę zapłaciliśmy obcym plantatorom, obcym kupcom, obcym robotnikom, zamiast zasilać temi pieniędzmi plantatorów własnych, puste kieszenie własnych bezrobotnych, i przez ściąganie podatków — kasy skarbowe własnej administracji.

Wszyscy wiemy, jak obecnie kurczą się możliwości sprzedania towarów zagranicą. Uzyskanie terenu kolonjalnego, na którym odbiorcami w dużym odsetku byliby i polscy emigranci — ożywiłoby w pewnym stopniu i wymianę handlową.

Gdy się mówi o kolonjach mandatowych dla Polski, zapominać nie należy, że są one w części tworem i polskiego społeczeństwa. Wszak Pomorze, Poznańskie i Śląsk, które nie były prowincjami deficytowemi — dawały duże nadwyżki skarbowi Rzeszy (szczególnie uprzemysłowiony Śląsk), nadwyżki użyte i na zagospodarowanie kolonij. Prócz tego Traktatem Wersalskim Polska przejęła część długów przedwojennych Niemiec, które również i na wspomnianą akcję zamorską użyte zostały.

Kolonje są więc nam taksamo potrzebne, jak naszemu zachodniemu sąsiadowi, mamy do nich takież prawa jako państwo sukcesyjne, jak i Rzesza.

Potrzeba ekspansji zamorskiej coraz szersze zatacza w naszem społeczeństwie kręgi, to też już w marcu 1933 r. Senat Rzeczypospolitej Polskiej uchwalił rezolucję następującą:

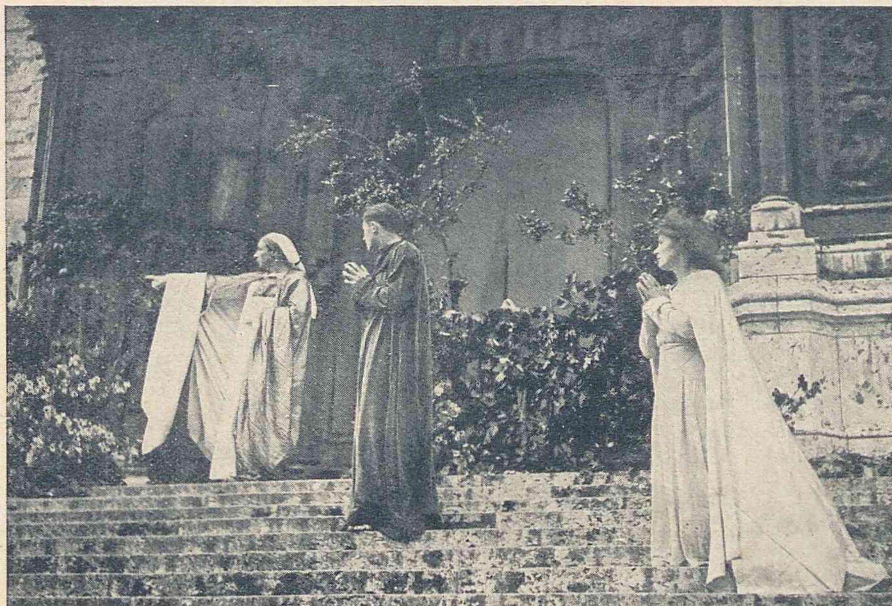
„Senat stwierdza konieczną potrzebę kolonij dla Polski i wzywa Rząd, by w chwili, gdy sprawa rozdania mandatów kolonjalnych stanie się aktualną na forum międzynarodowem, przedstawił żądanie Polski do odpowiedniego mandatu kolonjalnego".

Wydaje się, że chwila ta nadchodzi.

Równouprawnienie Niemiec przez dopuszczenie ich do udziału w nowym podziale terenów zamorskich powinno dać okazję do zapewnienia tej równości i Polsce.

Prężność bowiem demograficzna i gospodarcza Polski nie jest mniejsza, niż we Włoszech i w Niemczech, a znaczenie Polski w rodzinie narodów należycie już dziś oceniane jest przez wszystkich.

ZE ŚWIATA



Na stopniach Katedry w Chartres odegrane zostało „misterjum" średniowieczne p. t. „Adam i Ewa". Na fotografji przedstawiona jest scena z tego „misterjum", gdy wskazany zostaje Adamowi i Ewie owoc zakazany.



Msza dla chorych

W kościele Sacré - Çoeur odprawiona została msza dla chorych. Obecnym na nabożeństwie chorym udzielona została Komunja Święta.



Święto wina w Reims

W Reims urządzono święto win francuskich. W obecności prezydenta Francji Lebrun grupy ludności w strojach regjonalnych tworzyły barwny pochód.

W DWUDZIESTĄ PIĄTĄ ROCZNICĘ ŚMIERCI ELIZY ORZESZKOWEJ

18 maja b. r. minęła dwudziesta piąta rocznica śmierci autorki „Nad Niemnem". Moment ten, jak zawsze w takich wypadkach, pobudza do zastanowienia się nad rolą historyczną pisarki w życiu i literaturze i — co równie ważne — nad dzisiejszem, żywem znaczeniem jej twórczości. O ile dzieło Orzeszkowej stało się zabytkiem, ideowo i artystycznie martwym dokumentem, o ile zaś pozostało do dzisiaj nienaruszonym przez czas zbiornikiem mądrości i piękna, — oto kwestja do rozstrzygnięcia.

Autorka „Chama" urodziła się w zamożnym domu ziemiańskim w pobliżu Grodna, w r. 1841. Dzieciństwo jej i pierwsza młodość nie zapowiadają w niczem przyszłej nauczycielki i przewodniczki pokolenia. Dopiero w poprzedzających rok 63 latach wzmożonego patrjotyzmu i poczucia społecznego Eliza przeobraża się z przeciętnej, pustej lalki salonowej w dojrzałą kobietę, szlachetną, silną i świadomą swych celów. Klęska narodowa, upadek powstania i w jego następstwie srogie represje rządu carskiego nie złamały Orzeszkowej. Choć traci majątek i musi ciężko i samotnie borykać się z losem, nie poddaje się i — zwycięża. Rychło uświadamia sobie powołanie pisarskie i w roku 1866 drukuje w „Tygodniku Ilustrowanym" pierwszy swój utwór: „Obrazek z lat głodowych". Odtąd aż po kres długiego życia pozostaje Orzeszkowa pisarką, pisarką z powołania i pasji, płodną, pilną i czujną na wszelkie nowe objawy w życiu polskiem.

Rok 1863 wycisnął niezatarte piętno na życiu i dziełach autorki „Marty", jak wogóle na całej epoce zwanej w historji literatury epoką pozytywistyczną. Klęska zbrojnego powstania ukazała niemożliwość odzyskania niepodległości i zwróciła naród do przyziemnej pracy, która miała wytworzyć fundamenty pod nowe życie narodowe. Przewrót zaś w stosunkach ekonomicznych, spowodowany nagłem uwłaszczeniem chłopów w zaborze rosyjskim, sprowadził poważne zaburzenia społeczne, ruinę arystokracji i zachwianie się sytuacji średniej szlachty, która z dnia na dzień straciła bezpłatną siłę roboczą. Stąd tyle w owym czasie „wysadzonych z siodła" t. zn. zbankrutowanych ziemian, którzy po stracie majątku przenieśli się do większych miast, bez środków do życia i bez przygotowania do pracy zawodowej.



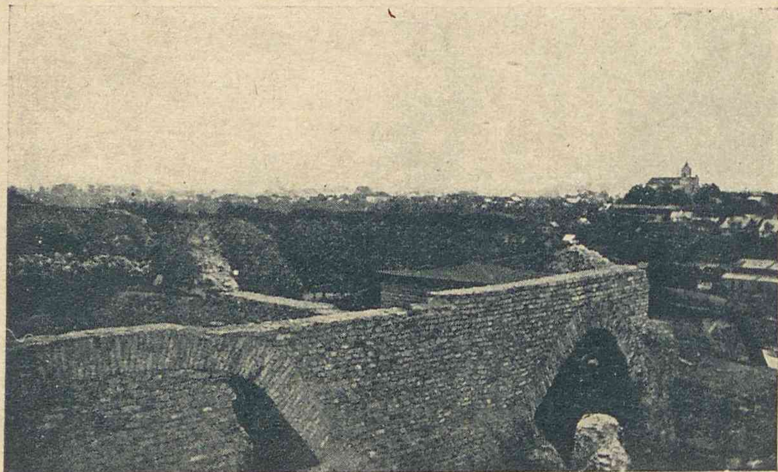
Eliza Orzeszkowa

Te dwa zjawiska, t. zn. klęska narodowa i przewrót w stosunkach ekonomicznych, tworzą tło dla pierwszego wystąpienia Orzeszkowej. Autorka nasza sama doświadczyła praktycznych skutków tych przemian, co temwięcej pobudzało ją do zastanowienia nad nowemi warunkami życia i, wynikającą z nich jako twarda konieczność, nową postawą życiową. To też cała wielotomowa twórczość Orzeszkowej z pierwszego jej okresu, od „Obrazków z lat głodowych" (1866) aż po „Elego Makowera" (1874), pełna jest rad, napomnień i wskazań.

Utwory z tej epoki, t. j. „Ostatnia miłość", „Na prowincji", „Pamiętnik Wacławy", „Marta", „Rodzina Brochwiczów" głoszą tezy, rozwijają programy, nawoływują i napominają.

Nic też dziwnego, że dzisiaj nikt nie czyta np. „Rodziny Brochwiczów" ani „Pana Graby". Są to już tylko martwe dokumenty, zdolne zainteresować conajwyżej badacza, zajmującego się dziejami umysłowości polskiej po roku 1863.

Stopniowo, powoli i długo dochodziła Orzeszkowa do dojrzałości i doskonałości artystycznej. Postaci jej ze sztywnych manekinów zaczynają przeradzać się w żywych i pełnych ludzi, znikają bezpośrednie wypowiedzenia autorki, zwiększa się zato subtelność w ujmowaniu stanów psychicznych i wrażliwość na zewnętrzną stronę rzeczywistości. Pierwszem arcydziełem pisarki jest „Meir Ezofowicz" (1877). Choć bliższa, ścisła tendencja tej powieści (namiętna wiara w dobroczynne światło wiedzy) wiąże się z epoką i wydaje się nam dzisiaj trochę przebrzmiała, porywa przecież w tym utworze wzniosły idealizm postaci tytułowej, bohatera, któ-



Mury otaczające Grodno

ry swą prostotą i prawdą przemawia jeszcze do dzisiejszych czytelników.

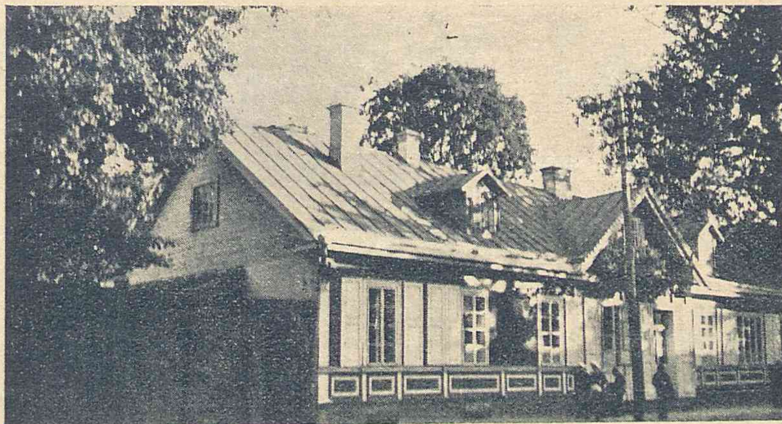
„Meir Ezofowicz" przepojony jest wiarą w słuszność i skuteczność pozytywistycznych ideałów, takich jak wiedza, praca, postęp, solidarność społeczna. Około jednak roku 1880 ta wiara Orzeszkowej załamuje się. Na widownię występuje wówczas młode pokolenie, przesiąknięte wiejącym od Wschodu radykalizmem społecznym, wrogie tradycji i przeszłości. Powstają prądy socjalistyczne i szybko zdobywają duży wpływ na młode dusze. Te prądy przerażają Orzeszkową. Jej patrjotyczne sumienie oburza kosmopolityzm nowej młodzieży, w socjalizmie widzi ona dążność do zniszczenia więzi społecznej, chęć użycia bez poczucia odpowiedzialności za dobro ogółu. Te zjawiska opisała autorka w szeregu powieści, jak: „Sylwek cmentarnik" (1880), „Widma" (1880), „Pierwotni" (1881). I one nie należą do jej najlepszych utworów. W charakterystyce niesympatycznych objawów społecznych Orzeszkowa przesadza, przejaskrawia, zamiast ludzi kreśli karykatury.

Dopiero w okresie następnym wyrzeka się autorka wszelkiej propagandy i tendencji i nareszcie artyzm jej osiąga najwyższe szczyty. W ciągu kilku lat powstaje szereg znakomitych dzieł, tych, które czytamy i któremi zachwycamy się po dzień dzisiejszy. „Dziurdziowie" (1885), „Nad Niemnem" (1886) i „Cham" (1887) to arcydzieła, które nazawsze pozostaną najczystszemi, pełnemi świetnego blasku klejnotami literatury polskiej.

Powieści swe wysyła autorka w świat z cichego, zapadłego Grodna, gdzie wyznaczył jej miejsce przymusowego pobytu rząd rosyjski. Odosobniona, samotna, żyła i pracowała Orzeszkowa przez długie lata w niekulturalnem, obcem polskości środowisku społecznem. Otaczała ją jednak powszechna cześć polskiego społeczeństwa; wybitni ludzie, pisarze, artyści, uczeni nieraz odwiedzali panią Elizę w jej grodzieńskiej samotni, liczne rzesze wielbicieli i wielbicielek zasypywały ją listami, obchód zaś dwudziestopięciolecia twórczości w roku 1891 był wspaniałą manifestacją, świadczącą o powszechnym hołdzie narodu dla swej przewodniczki duchowej.

Orzeszkowa przez lat blisko pięćdziesiąt brała czynny udział w życiu duchowem Polski, jako przewodniczka i reprezentantka pokolenia, z którem wspólnie przeżywała młodzieńczą klęskę, męską dojrzałość i bolesną starość. Pokolenie to zeszło niepowrotnie z widowni dziejów i z niem przeszła Orzeszkowa jako karcicielka, moralistka, reformatorka. Istnieje jednak inna Orzeszkowa, wielka artystka, autorka kilku powieści i kilkunastu nowel o wartości nieprzemijającej.

L. F.



Dworek w którym mieszkała Eliza Orzeszkowa w Grodnie

Z LISTÓW ELIZY ORZESZKOWEJ

do Jordana. (J. Wieniawskiego)

Z największym żalem swoim nie będę mogła tej zimy i wiosny zrobić wycieczki do Warszawy, a przedstawienia Hardych dusz w tem mieście więcej lękam się, niż pragnę, nie mając dla nich najmniejszej nadziei powodzenia.

Przeróbka pana Sarneckiego jest podobno wybornie wykonaną, ale przedmiot samej powieści skromny, nie efektowny, daleki bardzo od ulubionych dziś szkół pisarskich: symbolicznej, dekadentycznej i t.p. Tam gdzie podoba się Hedda Gabler, moi biedni szlachcice zagrodowi dostaną najpewniej fiasco. Zresztą, powodzenie dramatu zrobionego z powieści jest wogóle białym krukiem. W Krakowie wprawdzie poszło dobrze — wzamian nie trwało długo. Jakkolwiekbądź, chociaż pisałam powieść, nie dramat, czuję się nieco odpowiedzialna za Harde dusze i z samego strachu nie przyjechałabym na ich przedstawienie, gdyby nawet nie było przeszkód innych. Proszę o pozwolenie uściśnięcia zacnej dłoni Pana, z szacunkiem wysokim i przyjaźnią

El. Orzeszkowa - Nahorska.

Nadanie doktoratu „honoris causa" Uniwersytetu Warsz. prof. Montel



Siedzą od lewej do prawej: prof. Montel, rektor Uniw. Warszawskiego prof. Pieńkowski, dziekan wydz. Matematyczno - Przyrodniczego, prof. Stefan Mazurkiewicz.

ROBOTY PUBLICZNE NA TERENIE MIASTA

W poprzednim numerze „Świata" omówiliśmy szczegółowo rozwój prac kulturalno - oświatowych na terenie Wielkiej Warszawy, korzystając z łaskawie udzielonych nam informacji przez Dyr. L. Wędołowskiego. Dzisiaj chcemy dać rzut oka na roboty publiczne, w dalszym ciągu korzystając z informacji dyr. Wędołowskiego.



Ul. Francuska na Saskiej Kępie, należycie oświetlona i zabrukowana

Związek Stowarzyszeń Wielkiej Warszawy słusznie pomyślał o skoordynowaniu akcji robót publicznych z akcją zatrudnienia bezrobotnych, w czem znalazł poparcie u p. Wojewody Władysława Jaroszewicza. Uzyskano też na ten cel odpowiednie fundusze z Ministerstwa Opieki Społecznej i po uprzedniem skonstruowaniu szczegółowego systematycznego planu robót przystąpiono do pracy.

Od początku istnienia Związku, przy poparciu miejscowych Towarzystw Przyjaciół danych dzielnic, przeprowadzono następujące roboty:

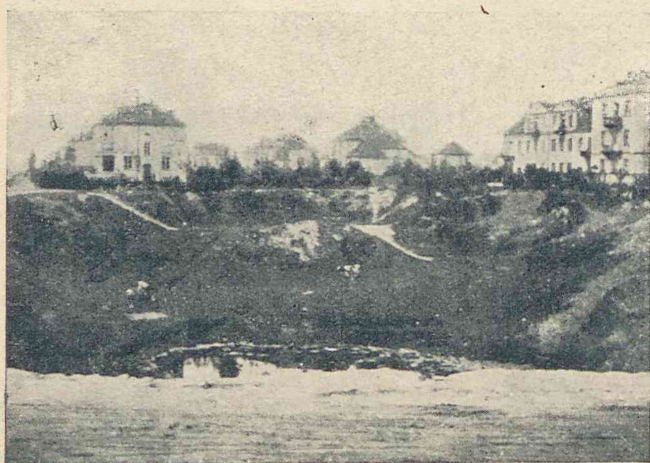
Pelcowizna: Budowa wału, mającego na celu ochronę dzielnicy od powodzi, powtarzających się corocznie. Zbudowano 6860 mtr. wału, kosztem 224.087 zł. oraz część wału odarniowano. Wyprodukowano płyty betonowe i ułożono z nich chodniki na ul. Warmińskiej, Kartuskiej, Jabłonowskiej. Na ul. Kartuskiej ułożon z powodu braku płyt część chodników z leszu. Zasypano leszem wyboje na ul. Bojanowskiej i Dobrzyńskiej.

Saska Kępa, Gocławek i Kamionek: Wykonano niwelację i regulację ronda i ulic: Dąbrówki, Berczyńskiej, Francuskiej, Estońskiej, Lipskiej, Finlandzkiej i Gruzińskiej. Ułożono chodniki leszowe na ul. Dąbrówki, Elsterskiej, Francuskiej, Estońskiej. Wykonano roboty niwelacyjne i regulacyjne na ul. Zwycięzców, Waszyngtona, Poselskiej, Gallijskiej, Krynicznej, Radłowskiej, Elsterskiej, Saskiej. Przerobiono jezdnię na Wale Miedzeszyńskim, wykonano szereg robót przy Parku Paderewskiego. Ogólny koszt robót wyniósł 180.665 zł.

Belweder, Czerniaków, Sielce, Siekierki: Prowadzono roboty ziemne, zasypując jezioro Baranowskie, oczyszczono stawy i rowy w Parku Sieleckim, przekopano kanał odwadniający i ułożono rurociąg betonowy, kryty, na tyłach ul. Chełmskiej. Zasypano rozlewiska przy ul. Boryszewskiej i Promenadzie. Oczyszczono, uregulowano, ofaszynowano i odarniowano kanał odpływowy na tyłach ul. Czerniakowskiej. Przeprowadzono roboty na ul. Słomczyńskiej, Kolonji, Konduktorskiej, Ludowej, Piaseczyńskiej, Huculskiej, Górskiej, Czerskiej, Iwickiej, Nabielaka, w parku Sieleckim, Promenadzie, ul. Magnuszewskiej i Łęcznej. Zaleszowano chodniki i jezdnię niektórych ulic. Wyszabrowano i wybrukowano część ulic, wreszcie zasadzono 890 drzew i 600 krzewów. Koszt robót wyniósł 399,167 zł.

Żoliborz: Przeprowadzono roboty regulacyjno —niwelacyjne związane z Parkiem Dolnym, zabrukowaniem Pl. Inwalidów. Wykonano skarpę na terenie parku Dolnego. Park sprofilowano i uporządkowano jego część. Uporządkowano Plac Inwalidów. Uregulowano część jezdni i chodników na ul. Cieszkowskiego. Na Placu Wilsona wykonano całkowicie jezdnię i skwery. Na ul. ks. Felińskiego splantowano chodnik od Pl. Wilsona do ul. gen. Zajączka. Konserwowano Park Żeromskiego. Na ul. Czarnieckiego wykonano część jezdni i chodników w stronę ul. gen. Zajączka. Na Powązkach, na cmentarzu wojskowym; posadzono drzewa, na skwerze Techników przy ul. Korsaka wyleszowano aleje. Uregulowano koryto rzeki Rudawki. Posadzono 1500 drzew przy Pl. Inwalidów, Pl. Wilsona oraz ul. Czarnieckiego, Mickiewicza, Krasińskiego i Suzina. Wykonano roboty ziemne na połączenie ul. Stołecznej z ul. Krasińskiego oraz zabrukowano te ulice. Koszt tych robót wyniósł 129.000 zł.

Marymont, Bielany i okolica: Podwyższono teren targowiska przy zbiegu ul. Potockiego i Mickiewicza i podwyższono jezdnię na ul. Mickiewicza. Zabrukowano ul. Łomiańską i Potocką. Ułożono na ul. Marji Kazimiery chodnik z płyt betonowych, zabrukowano rynsztoki. Zadrzewiono ul. Potocką. Koszt wykonanych robót wyniósł 78.510 zł.



Zasypywanie glinianek na Mokotowie

Grochów: Zniwelowano ul. Czapelską, Męcińską, Olszynki, Kobielską i Prochową. Zabrukowano łącznie 1596 m² ulic: Nasielskiej, Kordeckiego, Pułtuskiej, Prochowej, Czapelskiej, Kutnowskiej, Komorowskiej, Osieckiej, Sulejkowskiej, Płowce, Boremlowskiej i Byczyńskiej. Zabrukowano 1363 m² jezdni i ułożono 364 m² betonowych chodników. Wykonano chodniki z gruzu i leszu na ulicach: Płowce, Prochowej, Czaplickiego, Osieckiej, Sulejkowskiej i Serockiej. Wykonano roboty ziemne przy regulacji ulic: Kaleńskiej, Kobielskiego, Komorowskiej, Łukowskiej, Kordeckiego, Pułtuskiej, Nasielskiej, Czapelskiej, Prochowej, Kutnowskiej, Omulewskiej, Sulejkowskiej, Tarnowieckiej, Płowce, Boremlowskiej, Byczyńskiej, Bełżyckiej, Gedymina i Serockiej. Koszty tych robót wyniosły 56.187 zł.

Miasto — Ogród Czerniaków: Oczyszczono, zniwelowano, opłotkowano i odarniowano rów od ul. Sobieskiego do ul.



Projektowany ul. Walecznych na Saskiej Kępie

Powsińskiej w kierunku jeziora. Zasypano bezużyteczny rów przy ul. Powsińskiej. Ułożono rury betonowe ze studzienkami przy ul. Goraszewskiej, ułożono rury betonowe w rowie, przecinającym ul. Zieloną, Waszkowskiego i Godebskiego. Pogłębiono rurociąg od ul. Morszyńskiej do ul. Okrężnej. Podsypano ziemię na ul. Okrężnej od Powsińskiej w kierunku Pl. Rembowskiego. Zabrukowano część ul. Zielonej i Morszyńską. Ułożono chodnik leszowy na ul. Zielonej i Morszyńskiej. Na ul. Okrężnej posadzono 185 drzewek i po zabrukowaniu jezdni, wykonano chodnik z leszu. Na ul. Truskawieckiej zabrukowano jezdnię i posadzono 80 drzewek. W Parku wykonano roboty ziemne i posadzono 266 drzewek. Na ul. Morszyńskiej wykonano roboty ziemne, bruk i chodniki. Posadzono 207 drzewek. Na ul. Podhalańskiej posadzono 40 drzewek. Koszt robót wyniósł 69.529 złotych.

Mokotów: Ułożono na części ul. Puławskiej prowizoryczną kanalizację (rury betonowe), wymurowano 13 studzienek, zasypano rowy, zabrukowano część jezdni i przełożono część chodników. Zniwelowano ul. Kwiatową, zabrukowano ul. Kazimierzowską i Odolańską na pewnej przestrzeni, na której ułożono jezdnię i chodnik leszowy. Zniwelowano ul. Wiśniową w części i ułożono bruk i chodnik leszowy. Zniwelowano po Skwer ul. Ursynowską. Koszt tych robót wyniósł 57.184 zł.

Koło: Zniwelowano teren pod skwer z kwietnikiem przy ul. Obozowej obok pętlicy tramwajowej, kosztem 2,129 zł.

Ochota — Czyste — Rakowiec: Na ul. Pruszkowskiej i Mołdawskiej wykonano roboty gruntowe i brukarskie. Zabrukowano przejście z ulicy Pruszkowskiej na ul. Wiślicką. Wykonano roboty gruntowe i brukarskie oraz ułożono jezdnię i chodniki leszowe na ul. Pomnikowej. Na Placu Narutowicza ułożono chodnik z płyt betonowych, urządzono trawniki, posadzono 40 drzew, 300 mtr. żywopłotu. Koszt robót wyniósł 35.784 zł.

Czyste: Remont jezdni, ułożono chodniki na ul. Kolejowej, Przyokopowej, Zwrotniczej i Wesołej. Koszt robót wyniósł 6,200 zł.

Wola: Wykonano roboty ziemne przy budowie parku gen. Sowińskiego. Usypano wał ochronny na strzelnicy. Na ul. Ordona ułożono chodnik na długości 1 klm. Koszt robót wyniósł 29,675 zł.

Targówek: Na ul. Trockiej, Orańskiej, Handlowej, Remiszewskiej, Złotopolskiej, Olgierda, Kołowej i Biruty wykonano część robót brukarskich i niwelacyjnych oraz ułożono chodniki leszowe na ul. Orańskiej, Handlowej, Złotopolskiej, Olgierda i Kołowej. Koszt robót wyniósł 48,713 zł.

Nowe Bródno: Wykonano roboty ziemne i ułożono chodniki z gruzu ceglanego na ul. Juljanowskiej, Siedzibnej i Białołęckiej. Część ul. Białołęckiej zabrukowano kamieniem polnym. Koszt robót wyniósł 34,929 zł.

Śródmieście: Przekopano i zasypano trawą 16.081 m² pasów zieleni na różnych ulicach. Założono przy Dworcu Głównym 2 skwery i ułożono chodniki z płyt betonowych. Przekopano i wyżwirowano skwer na Pl. Dąbrowskiego. Przekopano 883 drzewa na różnych ulicach. Zniwelowano 15.000 m² w ogrodzie Jordanowskim na Wybrzeżu Kościuszkowskiem. Na ul. Prusa wykonano część nowej jezdni i ułożono chodnik z płyt betonowych. Koszt robót wyniósł 24.473 zł.

Na wszystkie wyżej wymienione roboty, wykonane w latach 1932, 1933 i 1934 czerpano kredyty początkowo z Min. Opieki Społecznej, jednak gdy w r. 1933 w kwietniu powstał t. zw. Fundusz Pracy, przy jego pomocy udało się znacznie wzmóc tempo robót i zatrudnić większą ilość ludzi.

Oddanie nadzoru nad dokonywanemi robotami w dawnych dzielnicach miejscowym Tow. Przyjaciół zwiększyło zainteresowanie społeczeństwa przeprowadzanemi pracami oraz przeprowadziło zasadę, że grosz publiczny przeznaczony na roboty winien w 100% iść do rąk bezrobotnych.

Akcja specjalna.

Do grupy tej należy przedewszystkiem zorganizowane przez Związek Komunikacji autobusowej w porozumieniu z Państwowymi Zakładami Inżynierji na tych ulicach i w tych dzielnicach, które pozbawione były całkowicie komunikacji.

Niestety wiele z tych linji trzeba było niebawem zwinąć, bo fatalny stan bruków spowodował całkowite zniszczenie taboru samochodowego. Część tej sieci autobusowej została później uruchomiona przez Zarząd Tramwajów Miejskich.

Wreszcie należy na zakończenie wspomnieć o energicznej akcji Związku Stowarzyszeń Przyjaciół Wielkiej Warszawy, celem obniżenia cen elektryczności i gazu w stolicy oraz poczyniono energiczne protesty z powodu niekorzystnej dla mieszkańców stolicy zmiany taryfy telefonicznej.

S. L.

MIĘDZY DWORCAMI I WAŁAMI KOLEJOWEMI PRAGI

Z DZIELNICY MICHAŁOWA

(Sl.). Rozbawiona i roześmiana grupka dziatwy na podwórzu przed pięknym gmachem nowoczesnej szkoły, a raczej 2 szkół — wita mnie wesoło, kiedy znalazłem się u wejścia do Szkoły powszechnej Nr. 15. „Legjonów" 1914 r." i Nr. 30 im. „Powstańców 1863 r." przy ul. Kawęczyńskiej.

— Pan dyrektor jest u siebie na górze — odpowiadają mi chórem dzieci na moje zapytanie. Idę za ich wskazówkami i po chwili znajduję się w pięknym, nowoczesnym gmachu szkolnym, do którego, jak się okazuje, uczęszcza zgórą 2000 dzieci. Szerokie, jasne, czyste korytarze; widne, wysokie klasy — wszędzie kwiaty w oknach, posadzki aż lśnią od czystości! Dzieci uśmiechnięte, czyste, wesołe! Widać dobrze im tu — czują się jak w domu.

Mimowoli przyszły mi na myśl dawne szkolne czasy z epoki caratu: ciemno, duszno, brudno — z każdego kąta czaiło się coś wrogiego i coś podejrzliwego.

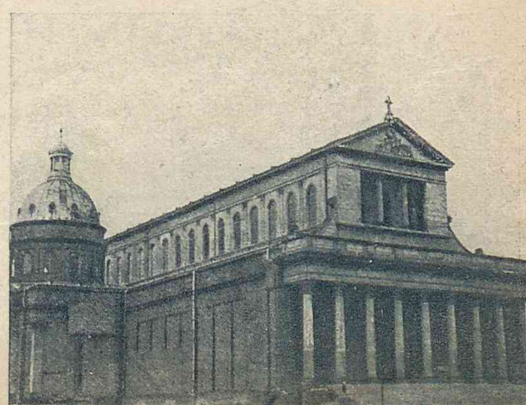
Szczęśliwe to dzisiejsze pokolenie! — pomyślałem. — Ale pan dyrektor Piotr Ciesielski idzie już ku mnie i gościnnie wita, zapraszając do swego gabinetu.

— Wiem, że pan dyrektor jest prezesem Tow. Przyjaciół Michałowa — zacząłem rozmowę. — Czy mógłbym prosić p. prezesa o trochę informacji z tej dzielnicy Pragi dla „Świata"?

— Bardzo chętnie panu służę — odparł dyrektor. — Przedewszystkiem cieszy mnie, że nareszcie stolica nami się interesuje i że redakcja „Świata" chce coś o nas napisać. Pracujemy tu zgodnie w skupieniu na przestrzeni około 200 ha., a mieszka nas tu coś około 25.000 ludzi.

— Towarzystwo nasze założone zostało w r. 1934, nie istnieje więc zbyt długo, ale od pierwszych dni swego istnienia serdecznie troszczy się o poprawę warunków egzystencji i warunków sanitarnych dzielnicy! Przedewszystkiem warunki sanitarne pozostawiają wiele do życzenia — mówi prezes Ciesielski. — Jesteśmy otoczeni ze wszystkich stron torami i dworcami kolejowemi, a jeśli pan doda do tego jeszcze kominy 15 fabryk i 3 chemicznych zakładów przemysłowych, zrozumie pan, że warunki sanitarne, wobec braku kanalizacji, muszą być opłakane. Przytem dym, pył i wyziewy, szczególniej w lecie, dają nam się bardzo we znaki. Wszystkie nieczystości płyną so-

Bazylika przy zbiegu ul. Otwockiej i Kawęczyńskiej



bie spokopnie rynsztokami. Jedynie część ulicy Radzymińskiej jest skanalizowana.

Rzeczywiście los tej dzielnicy, zamieszkałej przeważnie przez kolejarzy, tramwajarzy i robotników pobliskich fabryk, jest nie do pozazdroszczenia.

Na skutek starań Tow. Przyjaciół Michałowa (dawniej Szmulowizny), Zarząd m. Warszawy przeznaczył ostatnio 1.500.000 zł. na bruki i kanalizację tej dzielnicy. Jestto jednak kropla w morzu, gdyż większość bocznych ulic jest niezabrukowana.

Dzielnica posiada 7 szkół powszechnych, 1 gimnazjum państwowe i małe Seminarjum Duchowne. Nad całą dzielnicą góruje Bazylika, gdzie pod kierownictwem ks. proboszcza dr. Antoniego Hlonda, który jest jednocześnie vice prezesem Tow. Przyjaciół Michałowa, księża Salezjanie łączą z pracą duszpasterską szeroko zakrojoną akcję wychowawczą. Gmachy szkolne są tu imponujące, jakich centrum stolicy nie posiada nawet, a Szkołę Powszechną Doświadczalną Nr. 126 odwiedzają nawet często goście zagraniczni, jako wzór nowoczesnych urządzeń.

Dziwny szkoły te i Bazylika stanowią kontrast z dzielnicą całą, przeważnie zabudowaną małemi, drewnianemi domkami. Domki te i płoty, otaczające je, często, nawet na głównych arterjach Michałowa — ul. ul. Kawęczyńskiej i Radzymińskiej, wystają na jezdnię daleko poza chodnik, dochodząc nawet do torów tramwajowych. Jestto jedna z wielkich bolączek tutejszych, jak mnie poinformował prezes Ciesielski. Zdarzają się częste wypadki nawet śmiertelne, zwłaszcza na narożniku Kawęczyńskiej ulicy i Folwarcznej, tuż naprzeciwko remizy tramwajowej. Narożnik ten zyskał nawet miano „narożnika śmierci"! Wszystkie jednak starania tak Tow. Przyjaciół Michałowa, jak i Magistratu, by właściciele tych płotów dobrowolnie je usunęli, poszerzając tem samem jezdnię, nie odnoszą dotychczas skutku. Właściciele sądzą, że miasto musi im dobrze zapłacić za te skrawki ziemi. I zło trwa nadal! Ostatnio jednak magistrat oświadczył, że pozwolenia na budowę nowych domów wydawane będą tylko w wypadku wyrażenia zgody właściciela posesji na usunięcie parkanów, celem poszerzenia ulicy, a że się tu naogół buduje dużo, — jest nadzieja, że wkrótce ta bolączka Michałowa zniknie.

— Innym naszym brakiem — mówi mi dyr. Ciesielski — to beznadziejna sytuacja, jeśli chodzi o ogródki, boiska sportowe i zieleńce. Zupełnie ich tu nie mamy, a i ulice nasze też są niezadrzewione, choć ostatnio w pobliżu Bazyliki zasadziliśmy trochę drzewek, któremi opiekują się dzieci Szkoły powszechnej Nr. 192 im. Asnyka. Mamy nadzieję, że uda nam się zakupić od Sosnowieckiego Tow. Rur część placów (około 2 hektarów) przy ul. Radzymińskiej Nr. 57 i tam urządzić boiska, ogródki, a zimą ślizgawkę, ale to jeszcze odległe plany.

— Komunikację mamy z centrum miasta naogół dobrą: tramwaj 7 i 25, ale znów oświetlenie naszych ulic jest niedostateczne. Tylko Radzlmińska i Dąbrowska ulica są oświetlone elektrycznością. Reszta dzielnicy naszej ma oświetlenie gazowe.



Dyr. Piotr Ciesielski,
Prezes Tow. Przyjaciół Michałowa

— Inną naszą bolączką — ciągnie dalej swe opowiadanie prezes Ciesielski— jest brak hali targowej. Targi u nas odbywają się wprost na ulicy, co jest niehigjeniczne i z wielu względów niepożądane. Obecnie wszczęliśmy starania, by Magistrat zakupił część placów, położonych koło fabryki Labor, i tam urządził hale targowe. Odpowiednie podanie złożyliśmy miesiąc temu w Zarządzie Miasta i mamy nadzieję, że hale targowe niebawem zdobędziemy.

— Wogóle muszę panu powiedzieć — mówi dalej mój rozmówca, — że mieszkańcy Michałowa — to dzielni i dobrzy ludzie. To lud roboczy, silnie zorganizowany, wierzący w tradycje i dbający także o dobro ogółu. Przeprowadzaliśmy tu zbiórkę na powodzian i, mimo, że nasza dzielnica jest niezamożna, zebraliśmy kilkaset złotych gotówką i przeszło kilka tysięcy przedmiotów w naturze. Później znów na 20-ciolecie kapłaństwa ks. proboszcza zebraliśmy 3.800 złotych, w 2 tygodnie na wykończenie frontonu Bazyliki!

— Przyzna pan, że to rezultaty nienajgorsze! I jeszcze zwrócę panu uwagę na jedną niewłaściwość w naszej dzielnicy: na naszym terenie działają dwa komisarjaty policji — właściwie niewiadomo, po co, bo jeden wystarczyłby w zupełności, a tak, musimy często chodzić po 1½ kilometra drogi, aż za wały kolejowe, by jakieś sprawy załatwić.

— Ale to nie jest najgorsza nasza bieda! Najgorsze — to kanalizacja, a raczej jej brak!

Oby zarząd Miasta o nas nie zapomniał! — zakończył swe opowiadanie prezes Ciesielski.



Płoty i drewniane rudery na ul. Kawęczyńskiej uniemożliwiają regulację ulicy i powodują częste wypadki nawet śmiertelne



Gmach Szkoły Powszechnej przy ul. Otwockiej

Walne Zgromadzenie Delegatów Zw. Stow. Przyjaciół Wielkiej Warszawy

W Sali Sztandarowej na Ratuszu odbyło się Walne Zgromadzenie Delegatów Związku Stowarzyszeń Przyjaciół Wielkiej Warszawy.

Zgromadzenie zagaił Prezes Związku v-Marszałek Senatu Antoni Bogucki, oddając hołd pamięci zmarłego Pierwszego Marszałka Polski Józefa Piłsudskiego oraz witając dostojnych gości.

Po wygłoszeniu sprawozdania udzielono na wniosek Komisji Rewizyjnej jednomyślnie absolutorjum ustępującemu Zarządowi.

Następnie dokonano wyboru nowych władz Związku. Do Zarządu weszli: P.P. v-Marszałek Senatu A. Bogucki, dyr. Ludwik Wędołowski, dyr. dr. Tadeusz Garbusiński, inż. Marjan Zakrzewski, Min. Tadeusz Grodyński, dyr. Jan Strzelecki, dyr. Tadeusz Karszo - Siedlewski, dyr. dr. Aleksander Szymankiewicz, ks. Jan Golędzinowski.

Do Komisji Rewizyjnej p.p. prez. Jan Osiński, Stefan Piętowski, Kazimiera Modzelewska, inż. Włodzimierz Goebel, Czesław Boboli.

Do Sądu Związkowego P. P. płk. Feliks Kamiński, Nacz. Mieczysław Bilek, płk. Aleksander Stolarski, dr. Artur Blacharski, Eugenjusz Jurkowski, Dyr. Hipolit Wohl, Jan Kończak.

Z ważniejszych prac Walnego Zgromadzenia należy wymienić uchwalenie nowego Statutu Związku, który referował p. Dyr. Tadeusz Garbusiński.

Zgromadzeniu przewodniczył p. dyr. Jan Strzelecki, delegat Stowarzyszenia Żoliborzan.

VINZENZO BELLINI

(W 100-NĄ ROCZNICĘ ZGONU)

(1801 – 1835)





Jeden z mniej znanych portretów Belliniego



W roku bieżącym upływa sto lat od śmierci Belliniego, głośnego niegdyś w całym świecie kompozytora oper i jednego z ostatnich przedstawicieli (a ściślej mówiąc — spadkobierców), tej słynnej „Szkoły Neapolitańskiej", która przez wiek z górą — niemal do końca XVIII w. — utrzymała swą hegemonję w dziedzinie muzyki wokalnej i znaną była powszechnie pod charakterystyczną nazwą: stylu *bel canto*.

Niema w tem nic dziwnego, że rocznica ta będzie obchodzona bardzo uroczyście we Włoszech, gdzie kult dla Belliniego nigdy nie ustawał, pomimo tylu i tak znacznych zmian w muzyce dramatycznej, — gdzie w śpiewie przechowała się nieprzerwanie tradycja owego *bel canto*, — gdzie wreszcie opery Belliniego — te staruszki, już z górą stuletnie— figurują zawsze w repertuarze obok tak znacznie młodszych dzieł Verdiego lub Pucciniego, a najsławniejszy dziś kapelmistrz Toscanini, który dyryguje w Bayreuth dramatami muzycznemi Wagnera, wystawia w medjolańskiej Scali z największym pietyzmem „Normę" lub „Lunatyczkę".

Ale zadziwiającą jest rzeczą, że z racji tej rocznicy odżyło nazwisko Belliniego w innych krajach, gdzie o jego operach dawno już zapomniano i może mało kto z żyjących widział je na scenie. Tak np. w Pradze odbyła się przed kilku miesiącami uroczysta akademja w starym ratuszu z udziałem najwyższych dygnitarzy miejscowych i posła włoskiego, a w Teatrze Narodowym (Národni Divadlo) dano „Normę", umyślnie z tej racji wznowioną, a może nawet nigdy jeszcze dotychczas nie śpiewaną po czesku. Do wystawienia tej opery i dyrygowania nią sprowadzono z Rzymu znakomitego kapelmistrza, p. Molinari, który dyrygował też koncertem w Radio, również poświęconym Belliniemu.

Zapewne i nasza opera uczci dawnego mistrza włoskiego wystawieniem jednej z jego oper; kto wie, czy „Norma" lub „Purytanie" (w odpowiedniej obsadzie) nie przedstawiałyby dla dzisiejszych, nieco zblazowanych melomanów specjalnego uroku.

* * *

Vincenzo Bellini urodził się 1-go listopada 1801 r. w Katanji, starożytnem mieście sycylijskiem, położonem u stóp Etny. Studja muzyczne odbył w konserwatorjum w Neapolu i tam też w teatrze San Carlo wystawiono w r. 1826 pierwszą jego operę „Bianca e Fernando". Zaraz potem otrzymał wezwanie od medjolańskiej Scali do napisania nowej opery dla tego najsławniejszego teatru we Włoszech, co dla 25-letniego kompozytora było niemałym zaszczytem. Nie zawiódł też położonego w nim zaufania, bo wystawiona w następnym roku opera „Il pirata" doznała sensacyjnego powodzenia. — A potem szedł już jeden sukces za drugim: w 1829-ym „La straniera" (Cudzoziemka), w 1830-ym w Wenecji „Montechi e Capuleti" (Romeo i Julja), w 1831-ym, znów w Medjolanie, „La Somnambula" (Lunatyczka) i jeszcze w tym samym roku — korona twórczości Belliniego — „Norma".

W stosunku do poprzednich oper „Norma" oznacza ogromny krok naprzód. Dotychczas Bellini był przedewszystkiem *melodystą*, — możnaby powiedzieć *wyłącznie* melodystą; doszukiwać się w jego muzyce jakiejś interesującej rytmiki, bogactwa harmonji lub polifonji, barwy orkiestrowej lub choćby nawet wyrazu dramatycznego i ściślejszego związku pomiędzy słowami tekstu i muzyką byłoby daremnym trudem. Rola orkiestry sprowadzała się prawie wyłącznie do najprymitywniejszego akompanjamentu, a nawet uwertury, gdzie orkiestra wykazać może pewną samodzielność, były banalne i nic nie mówiące. — Wszystko to w „Normie" przedstawia się już zupełnie inaczej: uwertura jest wcale okazała, ma dobrą formę i staranną instrumentację; arje, zespoły i chóry, a zwłaszcza efektowny finał 1-go aktu, wykazują wiele wyrazu dramatycznego i stawiają „Normę" w szeregu najlepszych oper swojego czasu. — Wyborne libretto do „Normy" napisał przyjaciel Belliniego, Felice Romani, ten sam, który już raz (librettem do „Korsarza") przyczynił się do sukcesu kompozytora.

Dla włochów treść „Normy" posiadała ponadto w owym czasie swoisty urok patrjotyczny. Wszelkie dążenia do zrzucenia obcego jarzma i połączenia się w jedno niepodległe państwo narodowe, — wszelkie rewolucje, wybuchające w różnych krajach Półwyspu Apenińskiego, — zostały krwawo stłumione; nawet nadzieje, jakie obudziła rewolucja lipcowa w Paryżu, zawiodły; wszędzie zapanowała najczarniejsza reakcja: despotyzm, ucisk wszelkiej wolności obywatelskiej i pełne okrucieństwa nadużycia ze strony władz. Nie dziw więc, że dla włochów owi druidowie i wojownicy galijscy w „Normie" — podobnie jak szwajcarzy w „Tellu" Rossiniego — byli niejako transpozycją ich własnych cierpień i porywów patrjotycznych.

Teraz przed Bellinim stał już otworem cały „wielki świat" muzyczny, a więc przedewszystkiem stolica tego wielkiego świata — Paryż. Tam gromadzili się i przeważnie stale zamieszkiwali najgłośniejsi owego czasu kompozytorowie, wirtuozi i śpiewacy operowi, a wśród kompozytorów trzej sławni rodacy Belliniego: Cherubini, Spontini i Rossini. Wprawdzie Spontini, niegdyś ulubieniec cesarzowej Józefiny i wszechwładny dyktator

muzyczny epoki napoleońskiej, opuścił był już naówczas Paryż, ustępując miejsca silniejszej gwieździe Meyerbeera; ale zato sędziwy maestro Cherubini, zawsze czerstwy mimo swoich 73 lat, zajmował wysokie stanowisko dyrektora Konserwatorjum Paryskiego, a Rossini— syt chwały i... tantjem ze swoich trzydziestu kilku oper — zamieszkał we własnej willi pod Paryżem (w Passy); po wystawieniu swego „Tella" w Wielkiej Operze paryskiej (1829 r.) i uznając słusznie, że zdążył w 37-ym roku życia zdobyć nieśmiertelną sławę i wystarczające środki do przyjemnego życia, postanowił spocząć na laurach i, zamiast nadal trudzić się kompozycją, poświęcił się rozkoszom... dobrej kuchni. Ze starszych sławnych kompozytorów największą popularnością w salonach paryskich cieszył się Auber (autor „Niemej z Portici"), z młodszych zaś 30-letni Hector Berlioz i trzej zaledwie pełnoletni młodzieńcy: Chopin, Liszt i Ferdynand Hiller. — A cały ten Olimp muzyczny, wraz z niemniej świetnym Parnasem literackim i wykwintną „socjetą" paryską rozmiłowany jest w operze i z zapałem uczęszcza na wspaniałe przedstawienia z udziałem najsławniejszych śpiewaków z całego świata. W Théatre Italien śpiewają sławne na obu półkulach hiszpanki: Paulina Viardot i jej niezrównana siostra, Malibran, córki również sławnego Manuela Garcii, a z rodaków Belliniego dwie urocze siostry Grisi (alt i sopran), dla których przeznaczył partje Romea i Julji w swej operze „Montechi e Capuleti", wielki tenorzysta Rubini i równie wielcy basiści Tamburini i Lablache, i tylu jeszcze pierwszorzędnych artystów. — W ostatnich latach nastąpił też epokowy przewrót w dziedzinie opery; powstał nowy rodzaj, t. zw. *grand opéra*, którego głównym przedstawicielem był w tej chwili Meyerbeer („Robert Djabeł" w r. 1831), ale właściwymi ojcami Auber („Niema z Portici" 1828) i Rossini („Wilhelm Tell" 1829). Przepych wystawy, znacznie wzmożona orkiestra, niezliczony personel sceniczny (chóry, balet, statyści i t. zw. „bandy" orkiestrowe), a nadewszystko rozmiary opery i silne efekty dramatyczne, — oto główne cechy tego nowego stylu.

I jakże się tu dziwić, że Bellini, pomimo swego gorącego patrjotyzmu, pragnie też zakosztować tej wspaniałej paryskiej atmosfery artystycznej. Wystawia tedy jeszcze na pożegnanie w medjolańskiej Scali w r. 1833-cim operę „Beatrice de Tenda" i zaraz potem udaje się do Paryża, gdzie nazwisko jego już jest głośne i gdzie go przyjmują z otwartemi rękami. Podobnie, jak osiadły przed paru laty w Paryżu Chopin, zdobywa i Bellini wszystkie serca wdziękiem swej młodzieńczej postaci (wysmukły, delikatnej budowy blondyn), miłem i pełnem słodyczy obejściem, talentem i sławą.

Dzisiaj jest nam poprostu trudno zrozumieć, że tacy już nawskroś nowożytni pod względem harmonji i wyrazu kompozytorzy, jak Chopin, — ba, nawet Wagner — zachwycali się muzyką Belliniego, uwielbiając melodje jego oper, które już w dziecinnych moich latach wydawały mi się nazbyt naiwne i pozbawione wyrazu dramatycznego. I nie mogło być inaczej dla tych, którzy się już wychowywali na Aidzie, Carmenie i Lohengrinie. Ale wówczas *bel canto* miał jeszcze dla wszystkich pełny walor (zwłaszcza przy takich śpiewakach!), a Belliniemu trzeba oddać sprawiedliwość, że nie nadużywał go, jak jego bezpośredni poprzednicy, do celów czysto wirtuozowskich, lecz zawsze był bardzo szczery w swej inwencji i dbał o szlachetność linji melodyjnej.

W przeciwieństwie do wszystkich swych rodaków, którzy od czasów Pergolesego z zamiłowaniem uprawiali niwę opery komicznej *(opera buffa)*, Bellini ani jednej opery w tym stylu nie napisał; całe jego usposobienie nie odpowiadało temu rodzajowi muzyki. To też nie można go uważać za następcę Rossiniego, którego temperament, dowcip i hedonizm życiowy stanowiły krańcowy kontrast z naturą Belliniego; raczej możnaby widzieć w nim poprzednika innego genjalnego włocha — Verdiego, który przez całe życie tworzył jedynie opery o wybitnie tragicznej treści, i dopiero w 79-tym roku życia zadebiutował w operze komicznej (cudowny „Falstaff"!).

Po krótkim pobycie w Londynie (gdzie też gorąco go przyjmowano) osiada Bellini w Paryżu na stałe i pisze „Purytanów", w których przebija się już dosyć wyraźnie wpływ nowego kierunku w operze francuskiej. W 1835 roku „Purytanie" zostają wystawieni z wielkiem powodzeniem w Théatre Italien. Ale jest to, niestety, ostatni tryumf w życiu młodego kompozytora. Wkrótce potem zachorowuje nagle i po kilku dniach umiera (24 września w Putaux pod Paryżem). Z przerażeniem dowiaduje się Paryż o niespodziewanym zgonie swego ulubieńca, który tak świetne rokował nadzieje i zgasł w okresie największego rozwoju swego talentu. To też powszechny żal towarzyszył konduktowi pogrzebowemu w Paryżu, a świadczą też o tym żalu monografje, wspomnienia i artykuły, jakie się wkrótce potem w bardzo znacznej liczbie ukazały.

Aby zapobiedz szerzeniu się plotek, jakie powstały wskutek tak nagłej, przedwczesnej śmierci zdrowego dotychczas i pełnego sił żywotnych kompozytora, król Ludwik Filip sam zarządził obdukcję jego zwłok; nie znaleziono jednak żadnych śladów otrucia.

Długo spoczywały te zwłoki na obcej ziemi, bo dopiero w 1876 roku Francesco Florimo, sędziwy bibljotekarz i historjograf Konserwatorjum neapolitańskiego, a niegdyś kolega Belliniego w tym instytucie muzycznym, sam przewiózł prochy umiłowanego rodaka z Paryża do wolnej już wówczas i zjednoczonej Italji, aby je oddać jego rodzinnemu miastu— Katanji. Tam też w r. 1901 obchodzono z wielką uroczystością stulecie urodzin katańczyka, z którego zresztą cała Sycylja i całe Włochy są dumne.

* * *

Bellini jest jednym z tych kompozytorów, którzy—zszedłszy ze świata w młodym wieku — unieśmiertelnili pomimo to swe nazwiska.

Młodo zmarł *Chopin*, bo w 40-tym roku życia. — Nie doczekał 39-ciu lat *Mendelssohn*, zmarłszy nagle w pełni sił na atak mózgowy. — *Mozart*, który taką olbrzymią ilość dzieł pozostawił, nie dożył nawet 36 lat; tajemnicza choroba, która tak wcześnie żywot jego przecięła, wzbudzała (podobnie, jak śmierć Belliniego) nieuzasadnione podejrzenia, że otruł go jakiś zazdrosny rywal - kompozytor, co dało Puszkinowi temat do utworu dramatycznego „Mozart i Salieri". — Jeszcze młodziej, bo w 32-gim roku życia, zgasł na jakąś dziwną chorobę mózgową genjalny *Schubert*, jedyny może, co w płodności, łatwości i szybkości tworzenia dorównał Mozartowi; a najmłodziej chyba ze wszystkich — *Pergolesi*, który przeżył zaledwie 26 lat, a jednak zdobył nieśmiertelność i nawet epokowe stanowisko w historji muzyki.

Na wspomnienie tych nazwisk mimowoli przychodzi na myśl starożytna sentencja grecka: „ukochani przez bogów umierają młodo". Nasuwa się też wniosek, że widocznie zbyt wytężona praca twórcza oddziaływa destrukcyjnie na mózg, a nawet na cały organizm kompozytorów. Ale byłyby to uogólnienia niedostatecznie uzasadnione, gdyż z drugiej strony mamy przykłady wręcz przeciwne: długowieczności kompozytorów przy zachowaniu sił twórczych do najpóźniejszych lat. Wszakże genjalny Verdi komponował i nawet udoskonalał swą produkcję muzyczną do końca życia, a umarł, mając lat 88; wszak Auber, który zmarł w tym samym wieku, pisał w ostatnich dniach swego życia kwartet smyczkowy, nie myśląc zupełnie o starości lub śmierci, a w poprzednim roku skomponował przecież i wystawił operę p. t. „Pierwszy dzień szczęścia".

Wolno nam tedy ubolewać nad przedwczesną śmiercią wspomnianych wyżej genjalnych twórców, ale zarazem radować się, że genjusz ich dojrzał tak wcześnie i że zdążyli oni w ciągu tak krótkiego życia przekazać potomności skarby swego ducha.

Franciszek Brzeziński

W OPERZE OPERETKA



Nina Grudzińska, jako gwiazda rewjowa Angela w operetce „Hr. Luksemburg".

„Hrabia Luxemburg" Fr. Lehara

Muzyka Lehara, zdolnego spadkobiercy tradycji straussowskiej, wyróżnia się płynnością łatwo i przyjemnie w ucho wpadających melodyj, przeważnie w rytmice wiedeńskiego walca utrzymanych. Lubowano się w rodzaju tym przed ćwierć wiekiem; dla smaku dzisiejszej publiczności brak tu pieprzyku synkop i jaskrawych barw jazzowej instrumentacji. Muzyka ilustruje treść według starego szablonu zbudowaną, polegającą na naiwnem qui pro quo.

Odbywająca się tak szybko po „Dybuku" „premjera" (na tej scenie) świadczy o intensywności i o możliwościach pracy podwładnej rozkazom p. Korolewicz-Waydowej drużyny. Praca tam wre i kipi, panuje zapał twórczy i odtwórczy, czuć silną kierowniczą wytrawną dłoń i całkowite zespolenie wysiłków dwóch zazwyczaj wrogich sobie czynników zakulisowych: kierownictwa i wykonawców.

Te zalety dyrekcji ujawniły się i w toku środowego przedstawienia „Hrabiego Luxemburga". Stronę reżyserską opracował pomysłowo, jak zwykle, p. Witold Zdzitowiecki, muzyczną zaś nie bez nerwu i humoru kapelmistrz Bolesław Tyllia.

Role główne i mniejsze obsadzono naogół dobrze. W pierwszym rzędzie należy wymienić p. Ninę Grudzińską, fascynującą aparycją sceniczną jako „gwiazdę rewjową", paryską, niezrównaną subretkę p. Lucynę Szczepańską, zbierającą obfity plon zasłużonych oklasków za swój talent śpiewaczy i aktorski, jej brata Feliksa Szczepańskiego i p. Witolda Szpingiera, tego ostatniego jako podtatusiałego lowelasa. Rodzaj głosu i bohaterska silna lecz cokolwiek ciężka postać p. Edwarda Wejsisa mało nadają się do roli lirycznego amanta operetkowego, jakim winien być tu przedstawiciel partji tytułowej.

Rozliczne „wkładki" baletowe ładnie ułożył baletmistrz Mieczysław Prażmowski, zaś p. Józef Wodyński dobrał i uzupełnił dekoracje, tworzące miłe tło dla całego przedstawienia. Trudno też, na zakończenie, pominąć milczeniem zdumiewającą akrobatykę choreograficzną p. Mariny Michalskiej, jakoteż i sprawność personelu baletowego.

Adam Wieniawski.



Lucyna i Feliks Szczepańscy tworzą pełną temperamentu i humoru parę w operetce „Hr. Luksemburg", wystawionej efektownie w Teatrze Wielkim

„Marimba" w sali Rameau

Ameryka obfituje w ekscentryczne pomysły, realizowane za pomocą częstokroć nawet wielkich kosztów. Takim sensacyjnym eksperymentem jest orkiestra z Chicago, która wystąpiła w sali Rameau w Paryżu. Składa się ona z 50 młodych dziewcząt w białych kostjumach, oraz 50 panów w smokingach, którzy grają na „marimba". Jest to ulepszony ksylofon, którego dźwięk został przedłużony, wypełniony i „upoetyzowany" przez rezonatory. (Są to tuby metalowe, umieszczone pod drewnianemi płytkami ksylofonu).

W Polsce dobrze jest znany, zbliżony do niego, wibrafon, który używany w zespołach jazz'owych daje doskonałe efekty dźwiękowe zwłaszcza w zakończeniach.

W owej orkiestrze wielka ilość marimba, o ile z początku zachwyca, o tyle po kwadransie nuży. Słodycz i monotonja wibracji staje się nieznośną; słuchacz marzy o ostrym dźwięku trąby. Nawet imponująca wartość materjalna dźwięków (1½ miljona franków — gdyż każdy instrument kosztuje 15.000 fr.), nie wpływa dodatnio na ogólne wrażenie.

H.



Marja Wędrychowska, doskonała w roli hr. Kokowaczi w opertce „Hr. Luksemburg"



Lunia Nestor, znana artystka scen amerykańskich, ostatnio występowała gościnnie z wielkiem powodzeniem w Teatrze Nowym w Kaliszu, grając główne role w sztukach: „Awantura w raju", „Migo" i „Tajemniczy Dżems"

HANNA SKARBEK PERETJATKOWICZ

DOKOŁA BUNGALOW...*)

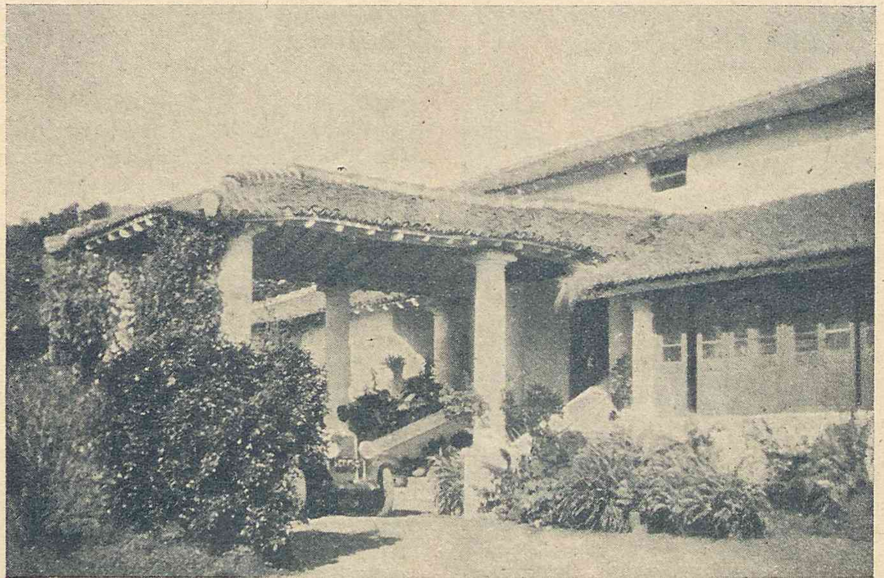
Kiedy ruszamy za morza w poszukiwaniu „wrażeń, przemieniających powszedniość codzienną w ustawiczne świętowanie", ulegamy złudzeniu, że wystarczy oto opuścić kraj rodzinny (nieciekawy, bo spenetrowany!), dom i najbliższe otoczenie (uprzykrzone już!), a pozbędziemy się natychmiast wszystkich trosk, niedomagań ciała i ducha, ba! nudy i monotonji dnia powszedniego. Że *tam*, dokąd dążymy z taką niecierpliwością, rozpocznie się okres jakiejś nieprzemijającej niedzieli, beztroski i samych uciech życiowych.

Jakże wygląda taki *powszedni* dzień w słonecznych Indjach? Czy łatwo, czy trudno go przeżyć?

Przedewszystkiem należy zniweczyć w sobie niejedno fałszywe urojenie o Azji, a zacząć ją jeść, pić i wchłaniać, acz trudnostrawną, taką jaką jest, a nie jaką chcielibyśmy, aby była ku naszej wygodzie czy w naszej egzaltacji. Napewno będzie inna.

Rozczarowania, zniechęcenie, nieprzewidziane trudności przy opanowaniu tej terra mistica zjawić się nie omieszkają. I nuda! Nuda już azjatycka, stokroć gorsza od domorosłej, granicząca z melancholją, podsycana paroksyzmami nieprzewidzianej nostalgji.

Właśnie, nie doceniałam narazie pomyślnej okoliczności, że danem mi było od samego początku zamieszkać na północy półwyspu hindostańskiego, w strefie „zdrowotnej" (170 stopni od zwrotnika), podhimalajskiej, objętej już maksymalnemi dobrodziejstwami cywilizacji. Przedewszystkiem zbawienna kanalizacja i instalacje elektryczne. Ach! i ta *własna*, prawie, że europejska łazienka z kranem pod ręką (nikt tu nie troszczył się o oszczędzanie wody!) i emaljowaną wanną, o której, później w piekle południa, można już było najwyżej śnić.



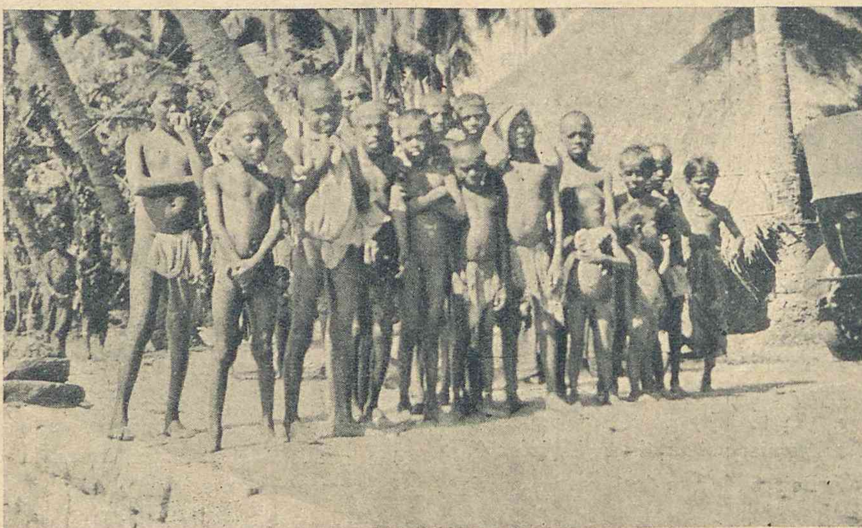
Bungalow obszerne z wysokiem sklepieniem sufitów

Bungalow obszerne, z niepomiernie wysokiem sklepieniem sufitów, podwójnym rzędem okien. Właściwie, każdy z domowników, prócz sypialni i pokoju kąpielowego, posiada sporą ubieralnię na własność i werandę. Miejsca wbród, ale powietrza mimo to, niezawsze.

Meble wykonane na miejscu, według najnowszych wymagań komfortu, najczęściej z drzewa tisowego, wygodne i estetyczne. Żaluzje, pięknie plecione maty - kilimy na podłogach, kontakty, dzwonki elektryczne i maszynki.

A jednak... kamienne, lodowate posadzki i takież ściany pozaciekane od wilgoci w zielone i żółte esy - floresy. Wszystkie okna i drzwi obszyte drobno plecioną, drucianą siatką, od której zalatuje niedocieczonym smuteczkiem. I ten bezustanny młyński turkot nad głową dniem i nocą wirujących wiatraków elektrycznych! Ach! i te idjotyczne „wysokie progi", a właściwie cienkie, ćwierćmetrowej wysokości przegródki, wstawiane we wszystkich drzwiach wejściowych, do których przywykło się dopiero wówczas, gdy się rozciągnęło boleśnie nie raz i nie dwa na mozaikowe kamienne płyty.

Przeklinałem je, uważając za złośliwą zasadzkę raczej na moje roztargnienie, niż na te wszystkie ropuchy, jaszczury, żuki, ciągnące wieczór w wieczór w gościnę z ogrodu, skoro tylko rozbłysły lampy w pokojach. Zresztą, towarzystwo to i tak dawało sobie doskonale radę, gdy się tylko uparło i przesadziło opłotki. Celowały w tem ropuchy, rozmiarów tak potwornych, jak potężny kaczan kapusty, o wyłupiastych ślepiach i tubalnych głosach. Truchlałam w swym fotelu, gdy znalazłam się sam na sam w pokoju z podobnie nieproszonym gościem o czelnych



We wsiach kotłuje się od mrowia ludzkiego

*) *Z cyklu:* W samym środku „Wieży Babel".

manierach i zamiarach. A nuż, myślałam, przemieni się napoczekaniu w strasznego zbójnika plemienia Pathanów, słynących tu z okrucieństwa i zaborczości.

Wołałam nagwałt Chochra, czekoladowego młodzieniaszka, i wspólnemi siłami, jak można najdelikatniej, aby nie urazić intruza, wyprowadzaliśmy go przez jedne drzwi, aby po paru kwadransach, przesadziwszy przeszkodę z rozmachem, pojawiał się przez drugie.

Noce spadały na ziemię nagle, rzec można w mgnienie oka. Aksamitne, obiecujące. Witało je się z upragnieniem, łudząc się, że darują człowiekowi nieco chłodu. Niestety, te pierwsze — były cokolwiek niespokojne. Ledwo zmrużyło się powieki, już jakaś nieproszona zmora wysuwała się ze swego kąta i natrząsała. Nieuchwytne szmery, czyjeś tłumione westchnienie, to znowu zduszony pisk czaiły się w obszernem bungalow.

Niesposób było też przyzwyczaić się do dziwacznej klatki, do której pakowało się na noc. Wysunięta na środek pokoju, przykryta szczelnie muślinem, wyglądała niby niesamowity biały karawan. Właziło się doń, skradając się chytrze i wnet zasuwało się szczelnie firanki. Niewidzialne, latające i pełzające robaki, oto byli najistotniejsi nieprzyjaciele białych, zastrzykujący niewiadomo kiedy truciznę przybyszom. A zresztą te monotonne, kryjące w sobie coś nieprzeniknionego, dźwięki — tam - tam. — Bliżej i dalej. I odpowiedzi głuche, ledwo dosłyszalne, zdaleka... zdaleka.

Dokoła naszego lilipuciego cantonmentu rozsiane są gęsto wsie. Kotłuje się w nich od czarnego mrowia ludzkiego, żywotnego, nieukojnego, niełatwo dającego się wcisnąć w karby jakiego-takiego porządku. Pustym dźwiękiem dla człowieka tutejszego są wszelkie przepisy, regulacje, nakazy hygjeny czy wstrzemięźliwości białych. Żyje on wciąż życiem roślinnem: posłuszny jedynie nakazom instynktu, ulegając impulsom bujnej swej natury.

I oto gdy w okresie munsoonu wypadnie jedna, druga noc pogodna, gdy miast potoków wody z nieba spłynie czarodziejskie światło boga - księżyca, nikt nie myśli w osiedlu o spoczynku, stary czy mały. Dopieroż muzyki, rajcowanie, zgromadzenia.

Monotonny ten, nie milknący ani na sekundę do świtu dźwięk bębnów miedzianych kryje w sobie jakąś niepojętą zapowiedź okrucieństwa i sprowadza na struchlałą duszę przybysza z drugiego krańca świata smutek i niepokój. Niedość tych rozkoszy, nicponie szakale koncertują również po nocach, sprawiając swe gody weselne w gęstych zaroślach naszego parku. Wyją i jęczą tak rozpaczliwie, że skóra cierpnie.

Niemało więc czasu upłynie, zanim wysubtelniony słuch i powonienie Europejczyka otrzaska się wreszcie ze wszystkiemi zapachami i dźwiękami tutejszemi.

Dzień robi się błyskawicznie. Różowy, pachnący, uśmiechnięty, jak dziecko. Zapominamy prędko o udrękach chwil, które przeminęły.

Pierwsza w mym pokoju na dzień dobry zjawiała się *Aja**). I natychmiast wszczynała głośny harmider w łazience, w której potulny, popędzany wiecznie w kark nosiwoda spełniał zresztą bez zarzutu swe obowiązki, przynosząc na ranną kąpiel 2—3 skórzane wory z gorącą wodą.

Mimo solennych zaklęć Czotty, że nic a nic nie wie, bielizna moja i suknie są znowu przesiąknięte tłustym zapachem olejków wschodnich. Denerwuję się. Gadatliwa babina, żując bez przerwy swój ulubiony *pam* (liście betalu zmieszane z pieprznym korzeniem Chilli), od którego zęby i wargi ma ukarminowane na amen, zaczyna prędko recytować najświeższe nowiny z naszej kolonji. Pragnie mnie udobruchać. Skutek jest wręcz przeciwny: tracę do reszty cierpliwość. Bo i co mnie może obchodzić do djabła!, który z licznych naszych, czy nie naszych sług uczynił znowu coś nieprzystojnego, albo kto zachorował u sąsiadów naprawo czy nalewo na dyzenterję! Niewinne te doniesienia przeplatane są zresztą extra nowinami. Np. ten mały terier starszej siostry ze szpitala wściekł się nad ranem i pokąsał nietylko inne pieski, lecz i konie stajenne. Albo, w tej wiosce, naprawo od bramy południowej, w Lachchiwolli wydarzyły się aż trzy wypadki azjatyckiej cholery, a w bungalow Nr. 3 ukazała się znowu kobra i znikła, jak cień! Musi tam być pod werandą gniazdo...

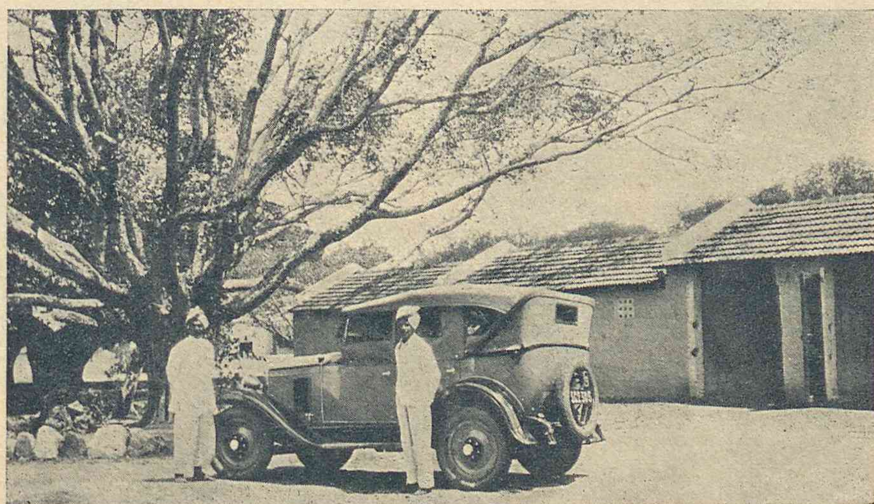
Aja żegna się po katolicku, bije się w pulchne piersi i zaklina na Chrystusa i Kriszną, że nie łże.

— All right, all right!—macham dłonią zniecierpliwiona, aby gadulska dała mi już spokój. Nie zraża się, pobrzękując tandetnemi bangalesami na bosych nogach, śpieszy co tchu do drugiej Memsahib**). A ja konstatuję przykro zdziwiona, że pozostawione z wieczora mydełka w łazience zostały znowu pożarte przez nielitościwe, wszystżo konsumujące (pantofle, kapelusze słomkowe!) białe mrówki - olbrzymki. Co gorsze, skorpjony i pająki, tak wielkie, jak ślimaki, obierają sobie gąbki za mieszkanie i zainstalowują się w nich napoczekaniu. Rozpacz! Nie chcę, broń Boże, krzywdzić tu nikogo. Niech im (mrówkom!) będzie na zdrowie każda moja pasta do zębów czy torebka, zwłaszcza ze skóry krokodylowej, pono najsmaczniejszej, ale niech mi nie włażą pod nogi! Nie potrafię wszak uśmiercić najbardziej nawet natrętnej muchy, aby się później nie męczyć, czując do siebie abominację, a cóż dopiero takiego konia-pająka, który wszak zwiastuje szczęście i miłość gorącą, zwłaszcza w godzinach południowych.

(d. c. n)

*) Aja — służebna.

**) Memsahib — pani.



Samochód w tych stronach jest więcej niż środkiem komunikacji — jest przyjacielem



Z OSTATNIEJ WYSTAWY PSÓW W WARSZAWIE

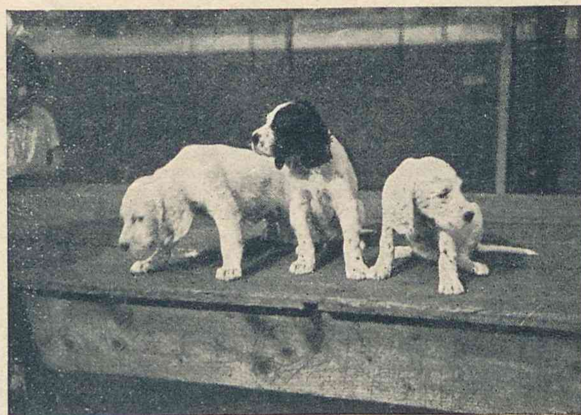
Powyżej: Okazowy ze „świetnej rodziny" Skye-terrier własność p. Dąbrowskiej

Na prawo: Piękny nakrapiany laverac

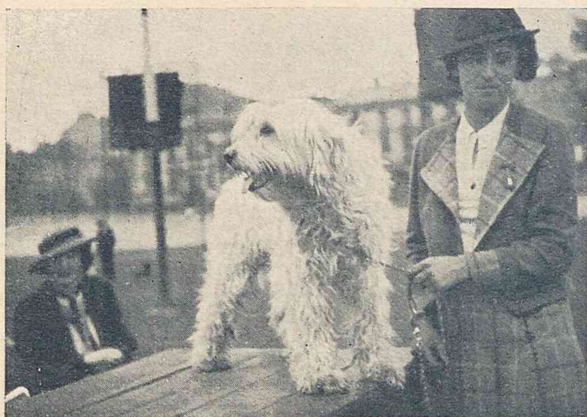
Na dole: Mądre Airaedale, są specjalnie cenione w Szwajcarji i Francji, gdzie ich hodowcy tworzą nawet odrębne kluby, (własność p. Tarnowskiej)







Trzy małe wyżełki laveraki niezbyt pewnie czują się na wyżynie pokazowego stołu







Powyżej: Dwa zadumane jamniki własn. por. Eugenjusza Pacyna

Na lewo u góry: Białe polskie owczarki stają się ulubieńcami znawców i hodowców własność p. Żółtowskiej



Na lewo: Miło jest pastwić się nad znalezionym gałganem

Na prawo: czarująca rodzina dobrotliwych olbrzymów rasy Św. Bernarda wł. p. Szuwałowa



ŚWIAT SZACHÓW

Pod redakcją D. Przepiórki



ZAKOŃCZENIE III TURNIEJU O MISTRZOSTWO POLSKI.
Siedzą (od lewej ku prawej). Dr. Raciążek, Przepiórka, ppłk. Dr. Steifer, wojewoda Dr. Nakoniecznikow - Klukowski (Prezes Polskiego Związku Szachowego), Magnuski, Dr. Tartakower (nowy mistrz Polski), H. Friedman

III Turniej o mistrzostwo Polski

Po dwutygodniowych uciążliwych walkach, w których wzięli udział prawie wszyscy najlepsi polscy mistrzowie, dnia 9 czerwca nastąpiło uroczyste zakończenie turnieju.

Jak było do przewidzenia pierwszą nagrodę i tytuł mistrza Polski, zdobył Dr. Tartakower, arcymistrz i olimpijczyk, osiągając 12 p. z 16 partyj (75%).

Gra naszego mistrza stała na wysokim poziomie technicznym, chociaż nie było widać specjalnego wysiłku; mistrzowskie rozgrywanie końcówek oraz rutyna turniejowa wysunęły go zasłużenie na czoło turnieju.

Na drugiem miejscu znaleźli się trzej mistrzowie: Henryk Friedman, Paulin Frydman i Najdorf (po 11 punktów). W normalnym turnieju dzieliliby oni nagrody, wobec tego, iż w turnieju o mistrzostwo Polski nagrody były honorowe, zastosowano system Sonneborn - Berger, w celu ustalenia jakości punktów. Okazało się, że najlepsze punkty miał Najdorf, który otrzymał II nagrodę, Paulin Frydman — III nagrodę, a Henryk Friedman — IV nagrodę.

Najdorf młody i utalentowany przedstawiciel gry kombinacyjnej spełnił pokładane w nim nadzieje i dał szereg wartościowych partyj; kiedy pozbędzie się jeszcze nerwowości, gra jego znacznie zyska na sile.

Nie trzeba rozwodzić się nad umiejętnością i głębią gry Paulina Frydmana, jego znajomość debjutów i prowadzenie gry są ogólnie znane; gdyby nie to, że młody mistrz nie był usposobiony, kto wie jakby wyglądała tabela turniejowa.

Prawdziwą niespodziankę sprawił nam przedstawiciel Lwowa, Henryk Friedman, który pokazał grę dojrzałą i spokojną, winszujemy mu serdecznie wielkiego sukcesu.

Dalsze trzy nagrody zdobyli mistrzowie łódzcy: V. A. Frydman 9½ p., Kolski VI i Szpiro VII po 9 p. (przyczem według Sonneborn - Bergera lepsze punkty miał Kolski); są to zawodnicy w walkach turniejowych zahartowani, a przedewszystkiem Kolski, który ma za sobą bardzo ładną karjerę szachową. W turnieju jednak silniejszą indywidualnością okazał się Szpiro, który zarówno silną męską grą, jak i wolą zwycięstwa zdobył sobie uznanie licznie odwiedzających turniej miłośników gry.

Ostatnią nagrodę (znowu podług Sonneborn - Bergera) przyznano Sulikowi 8 p., drugiemu przedstawicielowi Lwowa; jest to zawodnik młody, w grze nieustępliwy, rokujący piękne nadzieje na przyszłość.

Wśród nienagrodzonych znaleźli się mistrzowie tej klasy, co Makarczyk 8 p, który po świetnym starcie osłabł pod koniec, Appel 7½ p., który w przeciwieństwie do Makarczyka, dopiero pod koniec turnieju błysnął swą dawną klasą; Regedziński 7½ p., rutynowany mistrz, który nie grał tak dobrze, jak ongiś, oraz Kremer 7 p., który odznaczał się bojowością i szeregiem pięknych choć niezawsze szczęśliwych ofiar.

Na ostatnich miejscach znaleźli się Feinmesser 7 p., Schächter 7 p., Gerstenfeld 5½ p. i Zawadzki 2 p., nie chcielibyśmy powiedzieć, że zawodnicy ci nie spełnili swego zadania, pobieżna choćby analiza tabeli turniejowej wykaże, że byli oni groźni i umieli stawiać dzielny opór.

Reasumując nasze uwagi stwierdzimy, że turniej o mistrzostwo Polski nie stał na zbyt wysokim poziomie, ale wykazał, że polscy mistrzowie odznaczają się bojowością, chęcią zwycięstwa, co wzbudza w nas nadzieję, że zbliżająca się olimpjada przedstawi w korzystnem świetle zarówno wiedzę, jak i hart polskiej drużyny.

Poniższa tabela przedstawia dokładnie wyniki turnieju o mistrzostwo Polski.

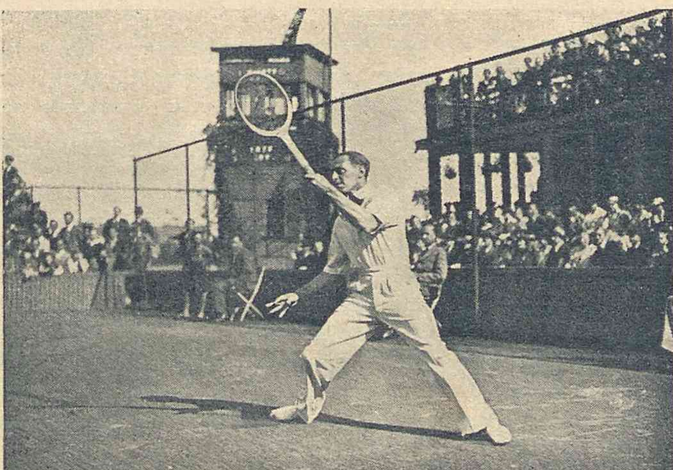
Wyniki gry turnieju o mistrzostwo Polski na 1935 r.

—	1 dr. Tartakower	2 Najdorf	3 P. Frydman	4 H. Friedman	5 A. Frydman	6 Kolski	7 Szpiro	8 Sulik	9 Makarczyk	10 Appel	11 Regedziński	12 Kremer	13 Schächter	14 Feinmesser	15 Gerstenfeld	16 Wojciechowski	17 prof. Zawadzki	18 Ilość punktów	19 Miejsce
1 dr. Tartakower (Paryż)	■	½	1	1	0	½	1	½	1	0	1	1	1	1	½	1	1	12	I
2 Najdorf (Warszawa)	½	■	½	½	1	1	½	1	½	1	0	1	1	½	1	½	½	11	II
2 P.Frydman(Warszawa)	0	½	■	1	1	½	0	1	1	½	1	1	1	½	0	1	1	11	III
4 H. Friedman (Lwów)	0	½	0	■	1	1	1	0	1	1	1	½	0	1	1	1	1	11	IV
5 A. Frydman (Łódź)	1	0	0	0	■	0	1	1	½	½	½	½	½	1	1	1	1	9½	V
6 Kolski (Łódź)	½	0	½	0	1	■	0	1	1	1	0	0	1	0	1	1	1	9	VI
7 Szpiro (Łódź)	0	½	1	0	0	1	■	0	0	1	½	1	1	0	1	1	1	9	VII
8 Sulik (Lwów)	½	0	0	1	0	0	1	■	0	1	½	½	1	½	½	1	½	8	VIII
9 Makarczyk(Warszawa)	0	½	0	0	½	0	1	1	■	½	1	0	½	0	1	1	1	8	IX
10 Appel (Łódź)	1	0	½	0	½	0	0	0	½	■	1	0	½	1	½	1	1	7½	X
11 Regedziński (Łódź)	0	1	0	0	½	1	½	½	0	0	■	½	0	½	1	1	1	7½	XI
12 Kremer (Warszawa)	0	0	0	½	½	1	0	½	1	1	½	■	0	½	½	1	0	7	XII
13 Schächter (Lwów)	0	0	0	1	½	0	0	0	½	½	1	1	■	1	½	0	1	7	XIII
14 Feinmesser(Warszawa)	0	½	½	0	0	1	1	½	1	0	½	½	0	■	½	0	1	7	XIV
15 Gerstenfeld (Lwów)	½	0	1	0	0	0	0	½	0	½	0	½	½	½	■	½	1	5½	XV
16 Wojciechowski (Inowrocław)	0	½	0	0	0	0	0	0	0	0	0	0	1	1	½	■	1	4	XVI
17 prof.Zawadzki(Śląsk)	0	½	0	0	0	0	0	½	0	0	0	1	0	0	0	0	■	2	XVII

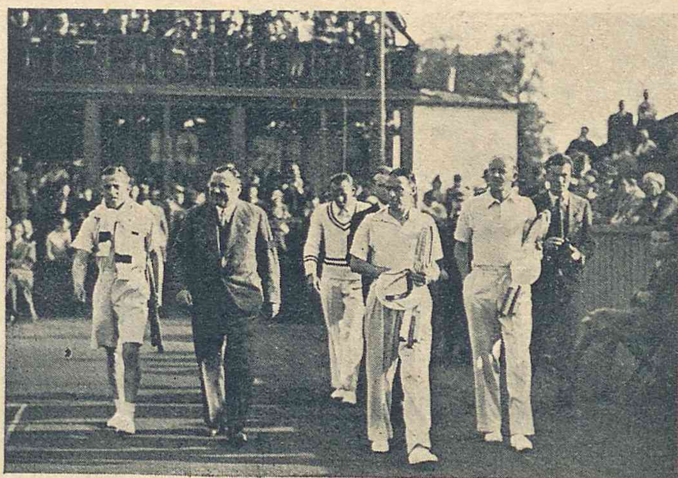
świat sportu



Na prawo: Po zwycięstwie odniesionem przez Tarłowskiego w ostatnich zawodach o puhar Davisa rozentuzjazmowani koledzy klubowi wynoszą zwycięzcę z placu na rękach.



Na lewo: Kirby (Połud. Afryka) w charakterystycznem dla siebie uderzeniu z lewej ręki.



Na prawo: Tłoczyński, Hebda, Kirby i Farquharson w towarzystwie radcy A. Olchowicza wychodzą na kort.



Na lewo: Z zawodów motocykloywch. Płk. Grabowski, prezes Legji, wręcza zwycięzkiemu Frankowskiemu puhar.

WYSTAWA LNU W LUBLINIE

Gospodarcze znaczenie lniarstwa

Lniarstwo nabiera w obecnej chwili szczególnego znaczenia wobec zaniku dochodu drobnych warsztatów rolnych i nieopłacalności produkcji zbożowej i zwierzęcej.

Lniarstwu coraz bardziej przypisuje się rolę tego czynnika, który ma wzmóc rentowność gospodarstw rolnych przy maksymalnem wykorzystaniu pracy ludzkiej, występującej na wsi w nadmiarze, gdyż przy znacznem bezrobociu w przemyśle i zastoju w handlu naturalny proces emigracji ludności rolniczej do miasta został zahamowany, wytwarzając dziś przeludnienie na wsi.

Rozszerzenie uprawy bawełny i rozbudowa przemysłu bawełnianego w ubiegłem stuleciu wpłynęły na znaczne zmniejszenie uprawy lnu. Po wojnie nasz przemysł tkacki oparty był prawie wyłącznie na surowcu importowanym. Taki stan rzeczy można było uważać za zjawisko naturalne, gdy eksport naszych produktów zbożowych i zwierzęcych nie natrafiał na te trudności wywozowe, jakie występują obecnie. Dziś jednak sytuacja zmieniła się i pewne uniezależnienie się od zagranicy staje się koniecznością

Stan produkcji włókna lnianego w ważniejszych ośrodkach krajowych przedstawia się następująco:

Rejony produkcji lnu	1932 r. obszar zaś. w tys. ha	1932 r. zbiory w tys. q	1933 r. obszar zaś. w tys. ha	1933 r. zbiory w tys. q
wileńsko-nowogródzki	32,9	76,6	33,9	75,8
białostocki	12,4	37,9	11,4	37,9
poleski	11,0	29,0	11,1	31,0
wołyński	7,2	19,8	6,9	21,6
małopolski (3 woj. wsch. Mał.)	12,8	35,5	13,1	33,3
lubelski	8,2	26,8	8,4	30,4
w pozostał. rejonach produkcji	9,2	30,4	10,2	36,0
Razem:	93,7	256,0	95,0	266,0

Na podkreślenie zasługuje, że produkcja lnu w ostatnich dwuch latach wzrosła.

Mamy do zanotowania przedewszystkiem planową akcję, prowadzoną przez wojsko, które z powodzeniem zastępuje surowce zagraniczne, jak bawełna, juta, sizall i manilla przez len i konopie. Skolei więziennictwo, kolejnictwo, a ostatnio m. in. Monopol Solny i cukrownictwo własne zapotrzebowania w coraz większych rozmiarach pokrywają wyrobami lniarskiemi. Wyroby te znajdują także coraz szersze zastosowanie w konfekcji i w urządzaniu wnętrz domowych, przyczem przetwórstwo lniarskie nabiera cech produkcji masowej.

Przejście z surowców włókienniczych pochodzenia egzotycznego na krajowe, znajdując poparcie u czynników rządowych, nie znalazło jednak dotychczas pełnego zrozumienia w przemyśle. Oczywistem jest, iż pewne zmiany techniczne w organizacji przemysłu, celem jego dostosowania do surowca krajowego, nie należą do rzeczy łatwych, jednak wyroby lniarskie znalazły już tak wszechstronne zastosowanie, że w tym kierunku należałoby nastawić przemysł fabryczny, dążąc do całkowitego zastąpienia egzotyków włókienniczych przez surowce krajowe.

Obok włókna lnianego większe zastosowanie znajdują w przemyśle olejarskim nasiona, jako drugi produkt lniarstwa. Wprowadzony w roku zeszłym system preferencyjny w zakresie krajowych surowców oleistych oddziałał dodatnio na wzrost uprawy lnu i winien wyeliminować surowce oleiste pochodzenia zagranicznego, tembardziej, iż stanowią one poważną pozycję przywozu, dochodzącą do dziesiątków miljonów złotych.

Ze sprawą lniarstwa i możliwości jego wszechstronnego zastosowania w masowem użyciu wiąże się akcja podniesienia przemysłu ludowego. W niektórych dzielnicach kraju przemysł ludowy stanął już na wysokim poziomie, stanowiąc poważny dochód ludności rolniczej. W większości jednak dzielnic kraju możliwości regjonalne w zakresie przemysłu ludowego nie zostały dotychczas całkowicie wyzyskane. Jeżeli chodzi n.p. o teren woj. lubelskiego — wyroby przemysłu ludowego, jak tkaniny samodziałowe, kilimy, ceramika, sita, kożusznictwo i szereg innych gałęzi tego przemysłu posiadało odpowiednie warunki rozwoju, lecz zaznaczył się tu brak planowej akcji. Zaradzić temu zamierza nowopowstała organizacja spółdzielcza p. n. „Lubelski Przemysł Ludowy". Instytucja ta już zaczęła rozwijać swą działalność i przystąpiła wespół z Lubelską Izbą Rolniczą i innemi lokalnemi czynnikami rolniczemi do organizacji „Wystawy — Targu Len Polski i Lubelski Przemysł Ludowy", której otwarcie nastąpiło w Lublinie w dn. 1 czerwca bieżącego roku.

Wystawa ta ma na celu spopularyzowanie lniarstwa pod kątem nastawienia na wzrost spożycia miejskiego i stanowić ma krok naprzód w ógólnej organizacji gospodarczej woj. lubelskiego — jako ważkiego ośrodka rolnictwa w kraju.

Wacław Michałowski

Wielki Zjazd Lniarski w Lublinie przy udziale gen. Żeligowskiego

Na zakończenie Lubelskiej Wystawy Lniarskiej i Przemysłu Ludowego odbędzie się w Lublinie w dn. 16 czerwca b.r. o godz. 10-ej rano w sali Rady Miejskiej — Zjazd lniarski pod przewodnictwem Prezesa Lubelskiej Izby Rolniczej p. F. Lechnickiego.

Zjazd obejmie dwa posiedzenia: inauguracyjne i zwyczajne, przyczem na otwarcie obrad zostaną wygłoszone odczyty przez Generała Żeligowskiego i prof. Jagmina z Wilna. Następnie przedmiotem obrad Zjazdu będzie m. in. sprawa rozwoju akcji lniarskiej i możliwości powszechnego zastosowania lnu. Dlatego też duże zainteresowanie Zjazdem wykazują nietylko sfery rolnicze, ale i szerokie koła ludności miejskiej.



Powszechną uwagę na Wystawie Lniarskiej w Lublinie zwracało stoisko firmy „Żyrardów"

Z ŻAŁOBNEJ KARTY



Ś.p. Jadwiga Omińska, była córką Bronisława i Izabelli z Kropiwnickich małżonków Ryksów. Ojciec Jej Bolesław Ryks odznaczył się wybitnie w walkach 1863 r., tworząc własnym sumptem oddziały powstańcze, w następstwie czego musiał emigrować zagranicę i osiadł w Paryżu. Tam przyszła na świat ś. p. Jadwiga Omińska. Otrzymawszy bardzo staranne wychowanie, poślubiła w 1904 r. p. Michała Omińskiego, właściciela m. Łanowicze. Odznaczając się sercem czułem na niedolę ludzką, Zmarła opiekowała się ludźmi, pozostającemi bez środków do życia i biednemi dziećmi. Podczas okupacji starała się przychodzić z pomocą skazanym na nędzę wskutek wojny, uruchamiając samowary i organizując kuchnie ruchome, rozwożące zupę, ratując w ten sposób nędzarzy od głodowej śmierci. Zmarła d. 9 czerwca r. b.

Cześć Jej pamięci!

Szwedzcy dziennikarze w Polsce

Grupa dziennikarzy szwedzkich, 22 współpracowników dziennika „Svenska Dagbladet", odbyła w końcu maja wycieczkę po Polsce. Wycieczka, prowadzona przez Polskie Biuro Podróży Orbis, w charakterze propagandowym zwiedziła Gdynię, Warszawę, Kraków, Zakopane, poczem dziennikarze szwedzcy wyjechali do Czechosłowacji.

W Warszawie goście szwedzcy byli podejmowani przez Wydział prasowy M. S. Z. i złożyli wieniec na grobie Nieznanego Żołnierza.

Przy wyjeździe z Zakopanego wysłali przedstawiciele „Svenskiej Dagbladet" depeszę do dyrekcji Orbisu z serdecznem podziękowaniem za doskonałe zorganizowanie i przeprowadzenie wycieczki.

W Jaworzynce, na Granicy Czechosłowackiej, nastąpiło serdeczne pożegnanie gości szwedzkich przez Radcę Ministerstwa Komunikacji p. Wyszyńskiego i przez przedstawiciela Orbisu.

Wycieczka szwedzkich dziennikarzy jest nowym dowodem zainteresowania Polską w Skandynawji z punktu widzenia turystyki.

Anatol France wrogiem Carrière'a

Wkrótce, w Paryżu na zbiegu ulic Caulaincourt i avenue Junot stanie pomnik malarza francuskiego Eugenjusza Carrière, wykonany podług planu syna jego rzeźbiarza. Carrière, malarz socjalny, tematem i ujęciem swoich obrazów zdeklarował się jako malarz lewicowy, czem zbliżał się do orjentacji politycznej Anatola France'a. Jednak France, rozmiłowany w średniowiecznej sztuce religijnej, nie mógł zrozumieć mglistych i fantastycznych w potraktowaniu obrazów Carrière'a i zdecydowanie nie lubił jego sztuki. Pewnego razu, przed zbiorową wystawą dzieł Carrière'a France obiecał napisać przedmowę do katalogu. Była to manifestacja polityczna.

W parę dni po zamknięciu wystawy otrzymał France olbrzymi pakiet starannie zapakowany. Po otwarciu okazało się, że jest to portret France'a malowany przez Carrière'a. Malarz stworzył swoje dzieło na podstawie fotografji i własnej fantazji. Pisarz miał na portrecie wyraz twarzy, jak po długiej i uciążliwej newralgji. Nadomiar złego postać spowita była w chmurę dymu, wydobywającego się z krótkiej, proletarjackiej fajeczki. Portret nie wzbudził entuzjazmu.

Po krótkiem wahaniu, gdzie go umieścić — w sypialni, utrzymanej w stylu Ludwika XIV, raziłby, do salonu nie nadaje się — najodpowiedniejszą okazała się łazienka. A nie była to zwyczajna łazienka. Było to raczej wygnanie wielu książek z licznemi dedykacjami, rękopisów przysłanych do oceny, z których France nie wiedział, co robić. I portret poszedł na wygnanie. Aż pewnego razu odwiedził dom powieściopisarza jego wydawca Pelletan. Na widok portretu wpadł w zachwyt. — Mistrzu! to jest arcydzieło! Dokument sztuki! Epoka w dziejach malarstwa!" Twarz France'a rozpogodziła się. „Ach, podoba ci się! Weź go sobie!" — „Mistrzu to jest bezcenne". France nie słuchając wskoczył na krzesło, szybko zdjął portret — „Weź go! Powieś u siebie! Jestem zachwycony, że ci się podoba!" Wręczył portret wydawcy — „Weź! Jedź prędko do domu! Rzeczywiście to jest arcydzieło! Weź dorożkę!"

Za chwilę oszołomiony Pelletan znalazł się na ulicy. A France wychyliwszy się z okna wołał! „Weź dorożkę! To jest pewniejsze!"

Takie były koleje losu dzieła Carrière'a.



Znana artystka, p. Vera Bobrowska, wyjechała zagranicę na wywczasy letnie, które spędzi na lazurowem wybrzeżu.

Anegdota teatralna

Do dyrektora teatru „Morskie Oko" p. Dzikiewicza zwrócił się listownie komik operetki lwowskiej Lelewicz z zapytaniem, ile wyniósłby koszt wynajęcia teatru. Ma bowiem zamiar urządzić wieczór humoru. Gdy otrzymał odpowiedź z żądaniem aż 600 guldenów za wieczór, odpepeszował:

„Morskie Oko"
Dzikiewicz
Perskie Oko
Lelewicz".

KOSMETYKA PANI ZOJI

WAHANIA TEMPERATURY

Jeszcze w żadnym roku naszego stulecia nie były zanotowane tak rażące wahania temperatury, jak obecnie. Rekordowym dniem pod tym względem był dzień 1-go czerwca, kiedy w Warszawie było notowane w południe + 20°, o godz. ósmej wieczorem + 5°, a o północy 0°.

Te zmiany oczywiście fatalnie odbijają się na naszej skórze, która nie może tak szybko dostosować się do tych zmian — pęka, łuszczy się, pokrywa się plamami, wygląda brzydko.

Aby zabezpieczyć się przed rażącemi zmianami, oraz uniknąć plam i łuszczenia się, należy używać środków zmniejszających naprężenie skóry. Do środków tych należą w pierwszym rzędzie preparaty parafinowe, wszelkiego rodzaju „cleansing'i", a nawet zwykły olejek parafinowy.

Preparatów parafinowych mogą używać wszyscy (przy każdym gatunku skóry), ze względu na to, że parafina jest tłuszczem nieorganicznym i skóra jej nie przyswaja, zmieniając tylko swoje naprężenie.

Oczywiście, jeżeli ktoś ma wybitnie suchą skórę, lepiej aby używał w okresie rażących zmian t° preparatów na olejku migdałowym, które jednocześnie skórę odżywiają.

Kto w swoim czasie nie zwalcza tych drobnych dolegliwości prostemi środkami, — w następstwie ma poważne wady skóry, walka z któremi przynosi dużo kłopotów.

PORADY KOSMETYCZNE

Odpowiedzi Redakcji.

Pannie Jadzi. Jeżeli ma Pani skórę suchą, która szybko chwyta promienie słoneczne, powinna Pani używać przed opalaniem *ELOE-OLEJKU*, który zapewni równą, ładną bronzową opaleniznę.

Pani Rudowłosa. To prawda, że rudzi więcej są skłonni do piegów i nieraz walka z niemi jest bardzo uciążliwa, nie mniej jednak przy dokładnem smarowaniu kremem *EFELI - UNGUENTUM* można usunąć najbardziej uporczywe piegi. Rezultat osiągnie Pani już po tygodniowem użyciu.

Starszemu Panu.

Skarży się Pan, że nie może osiągnąć opalenizny, mimo dłuższego przebywania pod działaniem promieni słonecznych. Otóż, jeżeli skóra jest tak odporna, należy zaprzestać smarowania olejkami podczas opalania się, obmyć się natomiast słoną wodą i używać słonecznej kąpieli na mokro od 2 do 3 godzin, poczem wetrzeć lekko olejek *ELOE.*

Wszelkich informacji udziela zarząd *ELOE - BORYSZEW*, Warszawa, Mińska 25, tel. 551-20. Tamże należy kierować korespondencję o porady kosmetyczne.

Osobistych porad udziela codziennie w godz. od 4 do 6-ej pani Zoja w swoim Salonie kosmetycznym przy ul. Służewskiej 4.

„KĄCIK PRAKTYCZNY"

MELBA.

Czy tak modna przed ćwierćwiekiem artystka Melba rzeczywiście lubiła lody skombinowane z kremem i owocami, nikt dzisiaj powiedzieć nie może. Prawdopodobnie nawet w chwili, kiedy pierwszorzędne restauracje zaczęły lansować tę potrawę, wcale jej jeszcze nie widziała. W każdym razie lody „Melba" weszły do nomenklatury kulinarnej obok sosu Soubise, zrazów Nelson i szeregu innych potraw, których nazwy współcześni wymieniają codziennie nie troszcząc się o ich pochodzenie a często nawet nic nie wiedząc o tych znakomitych lub przynajmniej znanych osobistościach, których nazwę one noszą.

Więc melbą nazywamy wszelkie kombinacje lodów z kremem, owocami, lekkiemi ciastkami. Każda restauracja, każdy kuchmistrz w cukierniach ma swoje sekrety swoje kombinacje do wykonania tej smakowitej, zimnej legominy — mającej obok słusznej opinji wykwintu inną mniej zasłużoną niesłychanej kosztowności.

Oczywiście, jeżeli obstalujemy w cukierni lub restauracji melbę na dwadzieścia osób, zapłacimy za nią jakąś poważną, a na nasze kryzysowe czasy ogromną sumę.

Ale czemużby takiej melby nie zrobić w domu.

O ile posiadamy maszynkę do lodów, wykonanie jej nie przedstawia żadnej trudności.

Jedyną jej wadą jest to, że układa się ją w ostatniej chwili przed podaniem, kiedy gospodyni, zajęta przyjmowaniem gości w salonie, nie może zajrzeć na czas dłuższy do kuchni. Jedynym sposobem na to jest zrobić parę razy melbę w zmniejszonej ilości, na użytek domowy lub gości bezceremonjalnych — lub bliskich krewnych.

Następnie już nasza „pomocnica domowa" da sobie z nią doskonale radę.

Więc podam tu następujące kombinacje melby, obliczając proporcję na 18—20 osób.

Jako podstawę zrobimy półtora litra lodów śmietankowych, waniljowych, biorąc na nie litr niegęstej śmietanki i sześć żółtek lub dobrego niezbieranego mleka i osiem żółtek i 45 dkg. cukru. Mleko lub śmietanę zagotować z pięciocentymetrowym strączkiem wanilji. Cukier utrzeć do białości z żółtkami, dodać do mleka i rozbijać trzepaczką, aż masa się zaciągnie, czyli zacznie gęstnieć, uważając aby się nie zagotowała, bo żółtka się zwarzą. Ostudzoną masę wlać do formy i zamrażać jak zwykle. Gdy lody już są kaszkowate, dodajemy do nich dwa dub trzy surowe białka i zamrażamy dalej, aż się zupełnie zetną. Ten dodatek białek nietylko bardzo zwiększa ich objętość lecz i dodaje pewnego „velouté" (aksamitności) w smaku.

Przygotować puszkę (kilową) krajowego kompotu z brzoskwiń lub moreli, ćwierć kilo cukierniczych wiórków migdałowych lub makaroników, nakoniec trzy ćwierci litra gęstej śmietanki ubić na krem i zmięszać z dwiema łyżkami cukru-pudru utłuczonego z wanilją.

Do płaskich kieliszków od szampana, lub talerzyków do kompotu nakładać do połowy lodów. Na to kłaść po połowie brzoskwini, pokryć bitą śmietaną, w którą ładnie zatknąć wiórek lub makaronik. Sok z brzoskwiń mięszać z kieliszkiem rumu i w chwili podania dolać po łyżce do każdego talerzyka, jednak z boku, aby nie oblać kremu.

Inna kombinacja równie smaczna: Zamiast brzoskwiń, pół kilowa puszka „crushed ananas". Zamiast ciastek posypanie kremu prażonemi w cukrze i utłuczonemi grubo migdałkami. Likierowy kieliszek „marasquino" wlany w chwili podania.

Trzecia, najprostsza: kilka olbrzymich truskawek położyć między lodami a kremem, lekkie biszkopciki na wierzch i kieliszek likieru waniljowego jako zakończenie. Likier zawsze wlewać w ostatniej chwili i pod krem.

Pani Elżbieta.

ARKADJUSZ BUCHOW

TAJEMNICZY CHULIGAN

(Nowela)

Swoim brudnym, niemrawym wyglądem dom przypominał pijanego, który obudził się na podwórzu i z żalem wspomina, kto spośród jego niedawnych kompanów wykąpał go w kałuży. Anteny na dachach stały krzywo i bezsilnie, jak resztki żywopłotu w ogrodzie, w którym złożyły wizytę świnie. Farba spełzła ze ścian. Koło bramy znajdował się wybój, przypominający swoim wyglądem dziurę w zębie starca. I tylko faliste skupienia śmieci i niesprzątniętego węgla na podwórzu świadczyły o tem, że dom jest obficie zamieszkały.

W takim to właśnie prozaicznym domu zaszło owo tajemnicze zdarzenie, o którem będziemy opowiadać.

Wątek tego zdarzenia zaczęła rozplątywać przewodnicząca komitetu sanitarnego, Nina Iwanówna Dubnik. Przemówienie jej na nadzwyczajnem posiedzeniu zarządu „żaktu", zwołanem naskutek rozpicia się palacza*) Demidycza, było zwięzłe i rzeczowe.

— W domu naszym, — rzekła Nina Iwanówna, błysnąwszy nieubłaganem spojrzeniem poprzez szkła binokli, — w domu naszym pojawił się chuligan. Stwierdzam to imieniem społeczności domowej.

— Prosiłbym nieco ostrożniej, obywatelko lekarzu dentysto, — przerwał jej trochę oficjalnie i z pewną urazą administrator Tiorkin, — minęły już czasy wymyślania od chuliganów.

— Biorę chuligana na swoją odpowiedzialność, — równie stanowczo rzekła Nina Iwanówna. — Bo cóż widzimy? Zdarzyły się już cztery wypadki. Niechaj ofiara z numeru jedenastego będzie łaskawa potwierdzić moje oświadczenie.

Ofiara z numeru jedenastego nie odmówiła potwierdzenia. Był to zasuszony staruszek, mówiący z bezgranicznym bólem w duszy.

— Siedem lat pracuję na tem samem stanowisku, — powiedział, zbierając myśli. — A w moim pokoju wciąż coś kapie z sufitu. No, a w zeszłym tygodniu rozwiesiłem na poddaszu wypraną bieliznę — prała mi ta przychodnia Marja Gawriłówna, — no i cóż myślicie: wszystko na podłodze! Pościągały łajdaki ze sznura, porozrzucali, a na, z przeproszeniem, kalesonach takie ślady, jakby niedźwiedź łapami trącał, — wszystko zapaprane popiołem, a tasiemki porwane. No, powiedzcie, czyż tak robią ludzie? Toż to czyste chuligaństwo!

*) przy centralnem ogrzewaniu.



Tajemnica udanego bridge'a na letnisku! Kuchenka Emes i lampa z palnikiem spirytusowym Rusticus miejski komfort na letniska przenoszą

Społeczność domowa była poruszona.

— Pan powiada: bielizna. Pan był łaskaw mówić o kalesonach, — ozwał się z oburzeniem ekonomista z numeru dziewiątego — a żarówki? Żarówki figurują na froncie kulturalnym nie niżej od gaci. A kto je wykręca? Dlaczegóż ja, człowiek z wyższem wykształceniem, muszę jak pies trzymać się wieczorem za poręcz, kiedy wracam do swego ogniska domowego? Czcigodna Nina Iwanówna ma podwójnie rację: w naszym domu jest chuligan.

— Są jeszcze inne ofiary, — dodała nieubłaganie ob. Dubnik i obrzuciła zebranie tryumfującem spojrzeniem. —Niechaj przeprowadzą one między sobą wymianę zdań.

— Ja nie jestem żadną ofiarą, — ozwał się lokator z numeru dwudziestego pierwszego — ale ponieważ mamy tu do czynienia z objawami bandytyzmu społecznego... Proszę o głos szanowne zgromadzenie.

— Posiadł go pan, — skinął przewodniczący Tiorkin, — proszę się streszczać i kontynuować.

— Jeżeli, powiadam, — ciągnął mieszkaniec numeru dwudziestego pierwszego, — mamy stanąć, jak jeden mąż, przeciwko objawom, to muszę oświadczyć, że ktoś mi codziennie rano ściąga gazetę. Ona wystaje ze skrzynki i ktoś ją ściąga. Bezpośrednio po wtykaniu przez listonosza.

— A dlaczego mnie nikt nie ściąga?— nachmurzył się sekretarz.

— Nie prenumeruje pan słowa drukowanego, więc nie ściągają.

— Więc co z tego, że nie prenumeru-

ję? Pan mi na głowie nie siadaj! Ja pana podwładnym nie jestem. Wstawałby pan wcześniej i wyjmowałby sam gazetę.

— Ja wstaję, kiedy chcę. Wstaję późno. Nago nie mogę wychodzić na społeczne schody, któremi chodzą damy.

— Pan by na fortepianach mniej grał, — zjadliwie wmieszała się lokatorka z numeru dziewiętnastego. — Ja nie jestem jakaś tam... Ja wszystko słyszę. Pan myśli, że jak pan krzesłami w nocy szura, albo w dziesięć par tańce urządza, to ja nie słyszę, co się nad moją głową dzieje. To ja się mam kłopotać o pana gazetę? Gazeta! Dla pana gazet—to wszystko, a za wyrazy kto ma odpowiadać? Bez gazety wyżyję, ale z wyrazami żyć nie mogę. Ja mam dzieci.

— Jakie wyrazy, obywatelko? — ponuro spytał Tiorkin. — Proszę się streszczać.

— Niech lepiej chuligani się streszczają. No, zwykłe słowa, zwyczajne; na drzwiach piszą. Rano ,jak drzwi otwieram, to na nich wyrazy znajduję. Pisze ktoś.

— Jakież to słowa, obywatelko?

— Jakie trzeba, takie piszą. Kredą.

— Dosyć. To nie ja mówię, to mówi społeczność domowa: dość tego! — wtrąciła się stanowczo Nina Iwanówna. — Zreasumujemy teraz wyniki i cyfry. Jaki jest stan rzeczy w dniu dzisiejszym w domu Nr. 7/15 przy zaułku Jodłowym?

...Mamy niebezpieczne ze stanowiska socjalnego wykręcanie przyborów elektrycznych z klatki schodowej, mamy kradzież czasopism, nie licząc zorganizowanego zrzucania bielizny obywateli sowieckich na społecznem poddaszu, i nadomiar wszystkiego— pisanie kredą, które nie może nie być uważane za napaść. W domu numer 7/15 znajduje się chuligan, jak to już niektóre osoby spośród nas zasygnalizowały.

...Jak odnosi się do tego chuligana nasz przewodniczący, towarzysz Tiorkin? Nijak. Umywa on ręce w tej kwestji. Nie walczy. Ale chuligan musi być zdemaskowany! Proponuję, celem wykrycia tego haniebnego zjawiska, wybrać ob. Grzegorza Markowicza, z numeru jedenastego, tę oto obywatelkę, która wspomniała o wyrazach, mnie oraz....

Nazajutrz rano zjawił się nagle odpoczywający chwilowo od picia palacz Demidycz. Czuć go było naftą, wódką i sparciałemi kartoflami.

— Przestałeś wódę żłopać? — spytał ponuro Tiorkin. — Ej, dziadu!

— Przestałem, proszę pana, — odpowiedział z szacunkiem Demidycz i wstydliwie westchnął.

— Słuchaj, Demidycz, — rzekł w zamyśleniu zaniepokojony wczorajszem posiedzeniem Tiorkin, — powierzam ci pewne zadanie społeczne. W naszym domu zjawił się chuligan. Zrozumiałeś?

— A juści, — potwierdził Demidycz.

— Więc słuchaj. Jak podpalisz pod kotłami, wyjdziesz na całą noc na schody i będziesz uważał. Obserwuj. Do samego południa obserwuj. A potem opowiesz, coś zauważył. A jeżeli kogoś złapiesz, to my ci w nagrodę za to na ogólnem zebraniu pięciorublową wdzięczność wyrazimy. Zrozumiałeś?

— Niech pan administrator będzie spokojny, już ja dopilnuję. Jak złapię chuligana, to go za włosy tutaj przywlokę. On mi się nie wyrwie!

Demidycz stróżował rzetelnie. Od godziny jedenastej wieczorem siedział już w kabinie nieczynnej windy, wyłaził z niej z tajemniczym wyglądem wywiadowcy, obszedł całe poddasze, podsłuchiwał pode drzwiami, i o godzinie dziesiątej rano, zmęczony i rozczarowany, zastukał do mieszkania administratora.

— No, z czem przychodzisz, Demidycz?

— Ano, nima go. Nie raczył przyjść.

— Kto nie raczył?

— Ano, chuliganisko nasze... Wszyćko było w porządeczku. Spokojnie. Tylko ten z dwudziestego pirwszego w nocy pijany przyszedł. A nie, nie, nic nie bił... Ino kredą różności na drzwiach powypisywał... Po pijanemu o mało na strych zamiast do siebie nie poszedł... A tam właśnie była ta dziobata z numeru dziewiętnastego. Inzinierską bieliznę pozrzucała, a swoją rozwiesiła....

— Tak, — zdziwił się administrator, — a zrana co było?

— Rankiem? Rankiem nic. Znikli wszyscy. Ino ten ekonomista tłusty wylazł w futrze i w pantoflach na bosą nogę, poczłapał na górę i gazetę z cudzych drzwi wyciągnął....

— Nic więcej nie było?

— Nicem więcej nie widział.

— No, idź już. — A zaczekaj no, Demidycz, co tam w rękach trzymasz?

— E, to nic, panie administrator. Żarówka. Na trzeciem piętrze żem wykręcił. Lokatorowi ona na nic się nie zda, a ja nie mam przy czem w kotle palić...

— Dawaj to, — rzekł sucho Tiorkin,— u mnie też się żarówka przepaliła.

Obejrzał uważnie lampkę, westchnął i wyszeptał z ubolewaniem:

— Ładni lokatorzy nastali. Niema co mówić, sami chuligani...

(tłum. *r. w.*).





Front znanego Salon de beauté „Cleo Cattley" (Mazowiecka 12), w którym mieści się pierwsza w Polsce filja „Coryse - Salomé".

DEMOKRATYZACJA KOSMETYKI

Niesłychany wprost rozwój kosmetyki datuje się od chwili zdobycia przez kobietę niezaprzeczenie oddawna należnych jej praw.

Gdy tylko kobieta oderwana została od zajęć ściśle domowych, gdy na rynku pracy stała się groźną konkurentką mężczyzny — zrozumiała i oceniła natychmiast, jak w tej walce niezmiernie jest jej pomocną uroda.

To też nowoczesna kobieta, zdając sobie wyśmienicie sprawę ze znaczenia tej tak ważnej dla niej broni, pielęgnuje swą urodę, podkreśla jej piękno, usuwa braki. Z pomocą przychodzi kobiecie przemysł kosmetyczny, który po wojnie rozwinął się do imponujących wprost rozmiarów.

Olbrzymie zapotrzebowanie ruszyło wreszcie ten przemysł z poziomu, na którym kosmetyki były dostępne tylko dla bardzo zamożnych osób i utrąciło ostatecznie przesąd, iż pielęgnowanie cery i stosowanie kosmetyków niezawsze jest w dobrym tonie. Nastąpiła demokratyzacja kosmetyki. Hasło racjonalnego pielęgnowania urody przeniknęło wszystkie warstwy. Jak we wszystkiem, co tylko poświęcone jest pięknu i estetyce ciała kobiecego, przoduje tu Paryż, w którym na czoło przemysłu kosmetyczno - perfumeryjnego wysunęła się firma o wszechświatowej sławie Coryse - Salomé. Powodzenie swe zawdzięcza ta firma wysokiej jakości swoich wyrobów, gdyż jest to olbrzymia fabryka, gdzie każdy artykuł przed wypuszczeniem na rynek jest skrupulatnie badany i wypróbowany wielokrotnie.

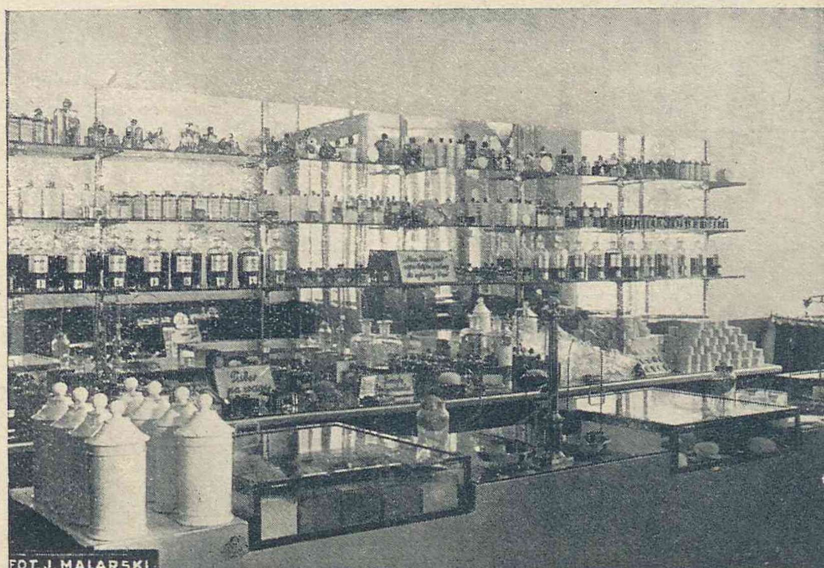
„Coryse - Salomé" posiada swe oddziały we wszystkich częściach świata, a w Europie we wszystkich większych miastach i w większości uzdrowisk i kurortów. Jako pierwszy w Polsce został otwarty oddział Coryse - Salomé w Warszawie przy najwytworniejszym w stolicy zakładzie fryzjersko - kosmetycznym „Cleo - Cattley" (Mazowiecka 12).

Stale gromadzące się tłumy podziwiają pełne wytwornej prostoty wystawy oddziału Coryse - Salomé, tak dalekie od szablonu sklepów perfumeryjnych.

Nowoczesne i dyskretne wnętrze ze szkła i niklu miło nastraja wchodzącego, a już krótka rozmowa ze sprzedawczynią, która jest dyplomowaną kosmetyczką, stwarza odrazu atmosferę zaufania.

Firma Coryse - Salomé, wychodząc z założenia, że niemal każda cera posiada jej tylko właściwy odcień skóry, na sprzedawczynie swych niezrównanych pudrów, kremów i innych kosmetyków przeznacza osoby, które drogą specjalnej nauki i dłuższego doświadczenia nabierają w wysokim stopniu umiejętności dobierania gatunków i kolorów kosmetyków najbardziej odpowiednich dla danego typu urody. Nie jest to rzeczą łatwą mimo, że firma Coryse - Salomé wytwarza puder w trzydziestu kolorach, krem pod puder o dziesięciu kolorach, oraz cały szereg znakomitych lotionów do zmywania twarzy. Nie mniej ważne jest umiejętne dobranie perfum, a jest rzeczywiście w czem wybierać, bo Coryse - Salomé wyrabia perfumy w 19 gatunkach, z których najbardziej słynnemi są „Opera", „Jachouka", „Mon Tourment" i t. d.

Jak się dowiadujemy od przedstawicielki na Polskę firmy „Coryse - Salomé", Pani Cattley, właścicielki znanego domu mód, istnieje projekt założenia dalszych filij w Polsce. Mamy nadzieję, że w interesie szerokiego ogółu pań, stosujących kosmetyki „Coryse - Salomé", projekt ten zostanie wkrótce urzeczywistniony.



Nowoczesne wnętrze ze szkła i niklu firmy „Coryse - Salomé" zachwyca dyskretną elegancją.



Gruźlica płuc jest nieubłagana i corocznie, nie robiąc różnicy dla płci, wieku i stanu, pociąga bardzo wiele ofiar.

Przy zwalczaniu chorób płucnych, bronchitu, grypy, uporczywego, męczącego kaszlu i t.p., stosują pp. Lekarze „BALSAM THIOCOLAN AGE", który, ułatwiając wydzielanie się plwociny, usuwa kaszel, wzmacnia organizm i samopoczucie chorego. Sprzedają apteki.





14 dni nad morzem za 91.50 zł.

Hasło, szeroko dzisiaj popularyzowane w Polsce „Frontem do morza!" znajduje coraz większy posłuch wśród szerokich mas, szczególniej gdy nadchodzi lato i okres wywczasów.

Kto już raz chociaż był nad polskiem morzem, kto raz już zwiedził Gdynię, Jastarnię, Jastrzębią Górę, Hel i Orłowo, ten napewno zapragnie powrócić nad polski brzeg, by po dusznych i ciasnych ulicach stolicy zaczerpnąć świeżego powietrza, wykąpać się w morzu i wygrzać na piasku.

Niestety, to morze zdaje się być daleko od stolicy, i koszt podróży b. wysoki. Są i tacy krytycy niepowołani, którzy twierdzą, że „nad morzem łupią ze skóry"!

Tak jednak nie jest!

Dowiadujemy się, że Robotniczy Instytut Oświaty i Kultury im. St. Żeromskiego, chcąc rozpocząć akcję popularyzacji polskiego morza wśród najszerszych warstw społeczeństwa, organizuje w czasie od 15 czerwca r. b. do 30 września r. b. kolonję morską sportowo - wypoczynkową w Gdyni i Jastrzębiej Górze, po cenach bajecznie nizkich. Oto już za 91.50 zł. będzie można łącznie z kosztami przejazdu w obie strony i utrzymaniem pozostać nad morzem 14 dni, zaś za 137 50 zł. 27 dni.

Na kolonji będą przebywali dyplomowani instruktorzy, którzy będą prowadzili: naukę pływania i wiosłowania, zaprawę na P. O. S. i O. S., zaprawę lekkoatletyczną, gry sportowe i gimnastykę. Wszelkich informacji udziela Sekcja Sport. - Wypoczynkowa Robotniczego Instytutu Oświaty i Kultury im. St. Żeromskiego (R. I. O. i K.) Nowy Świat 23/25, tel. 662-72.

L.

Jaki będzie czerwiec?

Po śnieżnym wstępie, jakim uraczył nas maj, przyszły brzydkie, deszczowe pogody i każdy promień, tak rzadko ukazujący się słońca, witany jest z niekłamaną radością.

Teraz już maj się skończył i jeśli wierzyć przepowiedniom, miesiąc czerwiec wynagrodzi straty i obdarzy nas słońcem poddostatkiem.

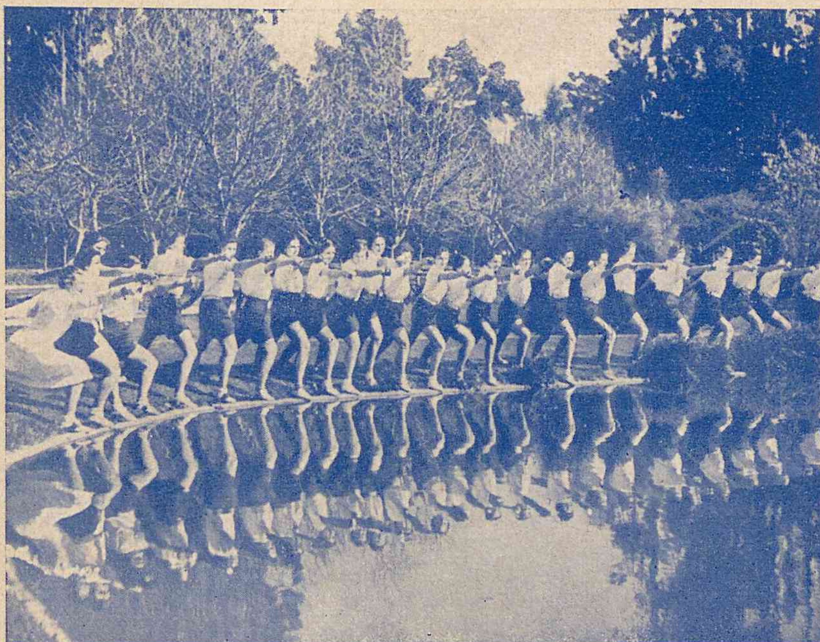
Do słońca tęsknimy wszyscy, a zwłaszcza piękne panie, rade by na plażach zaznać odpoczynku i napawać się rozkosznemi promieniami słońca.

Nie trzeba ani przez chwilę obawiać się szkodliwego wpływu słońca na cerę, jeśli naturalnie wzorem lat ubiegłych, nieodłącznym towarzyszem pań będzie subtelny Krem Cazimi Metamorphosa. Krem ten stoi na straży tworzenia się piegów, i wspaniale konserwuje cerę.

A więc bez obawy „z kremem Cazimi twarzą do słońca" niech będzie hasłem tegorocznego czerwca i następnych, słonecznych miesięcy.







Ćwiczenia szermierskie młodych amerykanek na otwartem powietrzu.

ZAPISZ SIĘ NA CZŁONKA L. O. P. P.

NASZE KUPONY TEATRALNE

OPERA, Teatr Wielki

KUPON № 32

ze zniżką 30%

Ważny od 14/VI do 20/VI r. b. włącznie z wyjątkiem sobót, niedziel i świąt.

Uprawnia do nabycia w kasie teatru do godz. 7-ej wiecz., o ile wolnych miejsc starczy, w dniu przedstawienia, biletu dla jednej osoby ze zniżką **30%**, od pełnych cen danego przedstawienia.

Teatr „ATENEUM"

KUPON № 32

ze zniżką 50%

Ważny od 14/VI do 20/VI r. b. włącznie z wyjątkiem sobót, niedziel i świąt.

Uprawnia do nabycia w kasie teatru do godz. 7-ej wiecz., w dniu przedstawienia, biletu dla jednej osoby ze zniżką **50%**, od pełnych cen danego przedstawienia.

Teatr KAMERALNY

KUPON № 32

ze zniżką 50%

Ważny od 14/VI do 20/VI r. b. włącznie z wyjątkiem sobót, niedziel i świąt.

Uprawnia do nabycia w kasie teatru do godz. 7-ej wiecz., o ile wolnych miejsc starczy, w dniu przedstawienia, biletu dla jednej osoby ze zniżką **50%**, od pełnych cen danego przedstawienia.

ŚWIAT FILMU

Dwie torpedy

(feljeton kinowy).

Berlińska wytwórnia kinematograficzna „Ufa" zwróciła się do rządu polskiego z propozycją nakręcenia kilku krótkometrażowych filmów krajoznawczych. Najłatwiejszym sposobem zareagowania na tę wiadomość — dla nas, widzów, szykanowanych stale w t. zw. „dodatkach" krajowej produkcji kiczami — byłoby: życzyć Ufie, żeby te pieniądze dostała i żeby *„pokazała, jak należy robić filmy krótkometrażowe"*. Najsmutniejsze jest w tem wszystkiem, że rząd „Ufie" ufa — a nie ufa polskim specjalistom od krótkiego metrażu.

Sposób, w jaki się popiera krajową produkcję nadprogramów, jest dosyć śmieszny, a bardzo problematyczny. Nie wszystkim pewno wiadomo, że kino, które do programu dołącza krajowy dodatek, dostaje 20% zniżkę podatku od całego widowiska. Przyczem jest zastrzeżenie, zresztą w intencjach swych zrozumiałe i dobre, że film ma dostać od cenzury kwalifikację *artystyczny* albo *kształcący*. Ale cenzura, jakby chciała odrobić swoją opinję nie tolerancyjnej, zarobioną przy odrzucaniu dobrych zagranicznych filmów — daje wspaniałomyślnie jedną z tych dwu kwalifikacji każdemu krajowemu kiczowi. Bo jeżeli nie jest „artystyczny" — to w każdym razie może być „kształcący"! A nikomu nie wpadnie na myśl, że mogłoby być (i powinno!) jedno i drugie razem. W efekcie: Różni ludzie za różne drobne pieniądze kręcą. Kręcą dużo, bylejak i prędko.

A nam naprawdę zupełnie nie zależy na tem, żeby robiono dużo. Stanowczo łatwiej zniesiemy dziesięć dobrych „nadprogramów" rocznie — niż pięćdziesiąt podłych.

Jest jeszcze jedno zastrzeżenie dotyczące owych sławnych 20%, które całkowicie zmienia oblicze krajowego filmu krótkometrażowego. Film musi mieć 200—300 metrów. Pomijając względy kompozycyjne — którego z artystów kinematografji (bo są i tacy) stać na dwustometrowy film? U nas w Polsce, jeżeli się ma na dwieście metrów filmu, to się kręci film o 2000 metrów. Idzie się do „branży" (a tam już niema artystów), kapitał zakładowy na dwieście pierwszych metrów wystarcza, żeby zacząć — dalej metodą filantropji i—kombinacji, kończy się na olaboga i byle jak podejrzanej wartości filmy, o których mieliśmy wątpliwą przyjemność pisać już na tem miejscu. Prawdziwi artyści, eksperymentatorzy pracują w granicach 50 — 100 metrów, oczywiście na własne ryzyko i za własne zaprzepaszczone pieniądze. Żadne kino tego nie wyświetli. Właściciele kin żądają dwustu metrów, zepsuci i zdemoralizowani dwudziestoprocentową obniżką podatku. Wobec tego kręci L. O. P. P., kręci K. O. P., kręci Liga Morska, których stać na dwustometrowy film. Ale film przestaje być terenem wypowiedzenia się człowieka - artysty, a robi się propaganda, reklama instytucyj społecznych, co może być korzystne, podniosłe i (pożyczmy sobie słowa) *kształcące* w pewnym sensie — ale nigdy nie ma nic wspólnego ze *sztuką*.

Błędem nie do wybaczenia jest to lekceważące traktowanie krótkometrażowej produkcji. Właśnie w tych drobnych filmach i filmikach odkrywa się normalnie to, co potem jest podstawą dobrych filmów programowych. Nigdy nie wiadomo, ile chwytów, tricków reżyserskich i frapujących efektów przeszło z drobnych eksperymentalnych nadprogramowych filmów. W każdym razie największy i najciekawszy reżyser świata — śmiało możemy zaryzykować — René Clair z całą pewnością nie byłby nam pokazał nigdy „Niech żyje wolność" czy „Miljona" w sposób tak nieoczekiwanie świeży i zachwycający — gdyby nie miał za sobą doświadczeń „Entr'acte" — czy innych właśnie: drobnych, „nadprogramowych" filmów.

Dziesięć lat temu jeden z doświadczonych krótkometrażowców polskich zwrócił się do rządu z propozycją założenia ośrodka filmowego, któryby ułatwił pracę ludziom kręcącym filmy krótkometrażowe. Przyczem prosto a dowcipnie wyliczył, że wystarczy na to koszt dwu niewystrzelonych torped (torpeda kosztowała wtedy koło 60 tysięcy złotych). Niewątpliwie zorganizowanie tego rucl w ośrodku tego rodzaju dałoby, jak to zy każdej organizowanej robocie się dzieje— znaczne rezultaty i kto wie, czy nie wyhodowalibyśmy już dotąd swojego René Claire'a.

St. Zamecznik.

Grecka księżniczka Katarzyna najmłodsza córka króla Konstantyna udała się incognito do Hollywood, gdzie rozpoczyna próbne „stage" w jednej z głównych wytwórni „Start" filmowy księżniczki już się rozpoczął. Ostatnie „dotknięcia" mistrza maquillage'u widzimy na sąsiednim zdjęciu.



Co środę i sobotę do Brukseli.

Poczynając od 5 czerwca, wyjeżdżają w każdą środę i sobotę wycieczki Orbisu do Brukseli z okazji Wystawy Światowej.

Cena wycieczki, zależnie od klasy, którą się podróżuje i od miejsca wyjazdu zaczyna się od 246 zł. (z Poznania), a z Warszawy od 261 zł.

W cenie tej mieści się przejazd w jedną stronę do Brukseli, paszport i wizy.

Na życzenie Orbis zajmuje się umieszczeniem turystów w hotelach i pensjonatach w Brukseli, przepełnionych obecnie przyjezdnemi na Wystawę. Wycieczki po Brukseli, oraz do miast belgijskich i do Holandji organizuje Oddział Orbisu w Brukseli.

Redaktor *L. Chrzanowski* Wydawca: „ŚWIAT" Spółka Wydawnicza z o. o. Druk. Galewski i Dau, Warszawa